Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁONKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pożywienie słonki odrębne i niepodobne do żeru innych ptaków, stanowi dosyć ciekawe badanie. Żer słonek musi być pożywny, gdyż najczęściej są w dobrem ścierwie i zaokrąglone, tłuszczu wszakże na sobie nie mają. Słonki zdradzają swój pobyt rozrzuconymi i przewróconymi liściami, jakoteż podziurawionemi łajnami. Niewprawny jednak może być łatwo w błąd wprowadzony, gdyż kosy i drozdy w głodzie, gdy jagód nie ma na wiosnę, przewracają także liście i dziurawią łajna szukając robaczków i poczwarek, w tej wszakże robocie jest różnica. Śpiewaki przewracają pojedyńcze liście na dosyć znacznych przestrzeniach dziobami i zostawiają je, gdy słonki kilka od razu naruszają i przedziurawiają je dziobem, zostawiając zlepione zgniłe. W łajnach znowu łatwo rozróżnić dziury, słonek są grubsze i gęstsze, niekiedy zaschnięte łajno (w świeżych nie szukają larw) jest jak sito podziurawione. Gdy inne ptaki przed połknięciem patrzą na jakość pożywienia, słonka ufając swemu czułemu i giętkiemu dzióbowi połyka owady nie widząc ich. Dziurawiąc zgniłe liście, czasem jeden lub dwa pozostawia na dzióbie przy osadzie i wtedy przedstawia się ptak w monstrualnych kształtach, liście te usuwa z wielką trudnością nogami lub dzióbem, ocierając o gałązki. Instynkt, wprawa, zręczność, doświadczenie podziwienia godne u słonek przy szukaniu pożywienia, nie jedno łajno pominie, na błocie lub roli pulchnej, pobiegnie kilkanaście kroków nie klując dzióbem, to znowu łajno dziurawi jak sito, lub też miejsce koło miejsca szturka w ziemię, czasem swą pracą tak zajęta, że daje się zejść na kilka kroków. Głębiej utkwione glisty wydobywa z wysileniem, wtedy się nogami zapiera, ciało w tył chyli i wydobywszy pożera. Często też w dzień żeruje, gdy się czuje bezpieczną, zdarzało mi się strzelać słonki, którym glista wisiała u dzióba. Przewracając liście szuka drobnych ślimaczków do nich przylepionych i połyka je wraz ze skorupą, w głodzie zmuszona zjada zeschnięte i obumarłe drobne żuki. Przy rewizyi wnętrzów słonki spostrzegamy części roślinne, lecz nie śmiem twierdzić, jakoby one stanowiły jej pożywienie, prawdopodobnie połyka je wraz z robakami.

Ostrożny i lękliwy ptak rzadko żeruje w dzień na otwartych miejscach, w lesie czyni to w przedpołudniowych godzinach, gdy się czuje zupełnie bezpiecznym. Pocieszna to ptaszyna krocząca poważnie z uwagą, z pionowo spuszczonym ku ziemi dzióbem; stanie rozgląda się, sztur-

knie w ziemię, to znowu coś skubnie na listku, a nieustannie słucha i rekognoskuje. Ku południowi poczyna drzemać i pozostaje w soporyficznem usposobieniu nieruchoma. Nad wieczorem najczęściej piechotą biegnie na krańce lasu, aby się przy zachodzie słońca zerwać i polecieć na polne żerowisko. Znajdujemy słonki wieczorami na drogach leśnych i linijach, po łączkach, na których pasło się bydło, najczęściej na pastwiskach krzakami zarosłych. Znaczna część słonek wylatuje z lasu dążąc na mokre, miękkie role, tam upatrzywszy miejsce z glistami, kłuje nieustannie w ziemię, często nie posuwając się wcale, widocznie instynktem podziwienia godnym wykryła obfite gniazdo glist. Łajna końskie rewiduje lecz nie dziurawi, o ile mi wiadomo, pazurkami rozdrapuje i wyszukuje larwy. Nad ranem opuszcza role i powraca do lasu, w nocnych zaś godzinach spią słonki na żerowiskach, inne zaspokoiwszy głód spieszą do zarośli, a rano przed wschodem słońca powracają na upatrzone miejsca. W tych wycieczkach najdobitniej charakteryzuje się ich popęd do samotności, istne to pustelniczki nie szukające towarzyszek. W lesie bywa czasem kilkanaście słonek pojedyńczo siedzących, wieczorem znowu pojedyńczo wylatują i każda osobno żeruje. Widzimy ptaki spieszące do drugich, gdy je posądzają, że znalazły obfity żer, słonka przeciwnie obojętna na czynność drugich, wyłącznie sobą zajęta. Ta sobkowość do tego posunięta stopnia, że jedna drugiej nawet nie wypłoszy, gdy się zrywa. Przy parowaniu czubią się i biją, w innych porach nigdy nie widziałem dwóch słonek w niezgodzie, jedna drugą mija jakby obcego ptaka. W głodzie szukają pożywienia na spróchniałych pniach, rozdrapując pazurkami i rozrzucając dzióbem trociny, aby się dostać do larw owadów. Zdawałoby się, że mrowiska dają najobfitsze słonkom pożywienie, doświadczenie jednak uczy, że ich nie szukają, nigdy na mrowisku nie zastałem słonki, ani też o tem w jakiej książce czytałem. Czy nie lubią tego pożywienia, czy ruchliwość mrowiska je straszy, czy też lękają się dokuczliwego kąsania mrówek, odgadnąć trudno, zdaje się wszakże prawdopodobnem, że larw mrówczych nie spożywają. Zdawałoby się, że słonki łatwo strzelać przy wylatywaniu z lasu, a dzieje się przeciwnie i nigdy żadnej ubić nie zdołałem. Słonka cicho i tajemniczo wybiega z lasu na kraj, zrywa się niespodzianie i ponad czarną ziemią ciągnie, więc jej na cel wziąć nie można. Nieraz pokazywano mi miejsca, w których wylatywały, widziałem je, lecz nawet strzelić nie mogłem. Inaczej się dzieje z powrotem ptaków do lasu przed wschodem słońca, bywa to polowanie intratne dla myśliwych rannych ptaszków. Wypatrzone i zapowiedziane w jesieni miejsca ciągu, ułatwiają wyszukanie odpowiednich stanowisk pod ścianą lasu; słonki w swem bezpieczeństwie dotąd nienaruszonem, podrywają się z roli, wznoszą nieco i nadciągają wolnym lotem sowim ku myśliwym, strzelane zaś zmieniają później kierunek. Znałem kilka takich lasów i dziwiło mnie niepospolicie, że leśniczowie przynosili po kilka słonek rano, zagadka wyjaśniła się opowiadaniem powyższem. Oczywiście ciąg ten zależy od bliskości roli, a zatem musi być corocznie wypatrywany i studjowany. Na niskich krzakach można i w jesieni na ciągu przy wielkiej uwadze i bystrym wzroku, gdyż słonki ciągną bez wydawania głosu, strzelać o księżycowem świetle, nie tylko lecące na żer, ale też ciągnące do nas z dalekich stron, a zapadające dla odpoczynku. Nigdy nie mogłem odgadnąć, czy wieczorem czy nad ranem odbywa się liczniejszy ciąg, zdaje mi się wszakże, że zawisł on od odległości, wiatru i wybranych stacyi, gdyż dostrzegłem tak rano jak i w wieczór przybycie słonek, których przedtem nie było. Nader często spotykamy w polu wieczorem pojedyńcze ptaki siedzące lub wachlujące na podobieństwo sów, niejeden w życiu widział ich kilkadziesiąt, nie oznaczywszy sobie gatunku ptaka. Każdy ciąg wiosenny czy jesienny, pełen powabu i uroku, zmusza myśliwego do polowania na te ptaki, wzbudzające nieodgadnione wzruszenie, kuszące nas nieustannie, zmuszające do badań, bo to stworzenia odrębnej natury i zwyczajów, odsłaniające nam ciągle wiele tajemnic z ich życia.

P o l o w a n i e na słonki jest według mego zdania wzruszające, dziwnie elektryzujące cały organizm myśliwego, każde jest odmienne i zabawne, ile miotów tyle niespodzianek, najwytrawniejszy weteran myśliwski nie zdoła przepowiedzieć, jak upatrzone czy wyśledzone wylatywać będą. Nie znam większej myśliwskiej rozkoszy, jak w jesieni, gdy mnogo jest słonek i licznie wylatują. Wołania naganiaczy bez przerwy *tire-haut* i pilnuj, drażni nerwy i rozgorączkowuje do tego stopnia, że najwprawniejsi strzelcy chybiają słonki wylatujące na szerokie drogi, linije lub łączki leśne. Zdarzało mi się widzieć towarzyszów porzucających broń w przekonaniu, że zepsuta, lub też niestrzelających w kilku miotach, aby uspokoić gorączkowe usposobienie. Zaiste ptak to dziwnie odmienny, w swych ruchach zwinny i nieporównanej w potrzebie szybkości, oszukuje nas nieustannie swymi lotnymi figlami i niespodziankami, po wieloletniem nawet doświadczeniu niejeden wykrzyknie: „a tego się nie spodziewałem!“ Spłoszona słonka, gdy wyleci na linije lub drogi, szyje prosto równym lotem, a mając w tyle głowy osadzone oczy, jak zając, nie widzi przed sobą. Krocie razy zdawało mi się, że mnie w brzuch lub twarz dzióbem ukłuje i musiałem się jej z drogi ustąpić. Patrząc na nią przez chwilkę, ustępując na bok, zdawało mi się, że ją trafić muszę, a jednak po strzale uleciała zdrowa. Nie można przewidzieć, co ona uczyni, gdy myśliwego zobaczy, każda wypłata jakiegoś figla, to stanie przez chwilkę w powietrzu na linii, to w chwili strzału daje kilka kominków, to zygzakowatym, pospiesznym lotem poszyje w drugi miot, często w niebezpieczeństwie rzuci się nazad w przebyty gąszcz jak kamień. Przed naganiaczami w drzemce zaskoczona, miota się z hałasem, ostrzeżona i uważna podbiegnie szukając rzadszych krzaków lub odkrytego miejsca do poderwania się, albo biegnie jak chruściel i często jawi się u nóg myśliwego. Nie płoszona wachluje ponad krzakiem wolnym lotem i łatwa do ubicia, gdy ją pierwej zobaczymy, jak ona nas. Spędzona krzykiem leci szybko, zatacza półkole i zapada w oddaleniu, często po za liniją naganiaczów. Łatwo odróżnić słonki znające grozę polowania, takie wylatują często przez chłopców niedostrzeżone i wcześnie szukają ratunku w dali. Patrzyć trzeba koniecznie w głąb miotu, aby zobaczyć biegnącą słonkę, która podobna kolorem do ziemi liściami okrytej, ruchem jedynie się zdradza, gdy jej biegnącej nie zabijemy, przerzuci się jak błyskawica przez liniję i nie dozwoli strzelić do siebie. Niektóre słonki z trudnością dają się wypędzić na myśliwych, mianowicie w tył wracające lub warujące pod pniakami lub korzeniami krzaków, wtedy należy miot w przeciwnym kierunku gonić, a naganiacze muszą kijami bić po krzakach. Doświadczenie nauczyło nie gonić słonek pod

górę, bo one tam lecieć nie lubią, jak i z wiatrem dmącym pod pierze. Często takie niesforne słonki, gdy je w innym kierunku goniłem, wylatywały posłusznie na myśliwych. Zrywająca się słonka i górująca już ponad krzakami, zawsze stanie w powietrzu nieruchoma, wprawdzie tylko na mgnienie oka, ale dla strzału wystarczająca to i korzystna chwilka. Szczególnie kto z wyżłem poluje czyli jak mówią buszuje, nie powinien strzelać do zrywającej się słonki śród prętów i gałązek, lecz wyczekać tego zatrzymania się w powietrzu. Wstrzymuje się widocznie w celu obrania kierunku lotu. Postrzelona traci przytomność i nie ucieka, lecz waruje lub podskakuje na miejscu; zabitą należy albo zaraz podnieść lub też dokładnie miejsce upadku upatrzyć, bez zachowania tej reguły niejedna przepada z powodu podobieństwa do gruntu, na którym leży. Nic piękniejszego, jak widok gonionych słonek na łąki lub pola, gdy się wypędzić pozwalają, bo często wobec otwartego miejsca cofają się ponad głowami naganiaczów. Nie widząc pod lasem stojących myśliwych, wylatują spokojnie i półkolem powracają do lasu. Nad wieczorem, gdy się zbliża godzina żerowania, dają się słonki wygonić i zamiast powracać do lasu, lecą na role. Wyznać muszę że słonki srogo strzałami prześladowane wracały, zdarzało mi się jednak widzieć często ptaki nie powracające do lasu, a gdy światło dzienne dozwalało strzelać, kazałem gonić role, a strzelcy stawali pod drzewami, i o dziwo! żadna słonka do krzaków szybować nie chciała, lecz cofała się i ponownie na roli zapadała.

Gonienia słonek trzeba się uczyć jak każdej czynności, są kierunki, w których słonki nie polecą i wtedy próżna nasza praca. Wypada wiedzieć, gdzie przebywają i w tę stronę gonić, jeżeli na to silniejszy niż zwykle wiatr pozwoli, na słabszy wiatr słonki nie uważają. Należy przestrzegać, aby każdy chłopiec przy zawołaniu *tire-haut!* lub spłoszywszy słonkę, patrzał za nią i starał się dostrzedz miejsce, gdzie zapadła. Całe polowanie odbywa się w niższych lub wyższych krzakach i nie zawsze widzą myśliwi drugi miot lub inny oddalony, naganiacze zaś mają szerszy przed sobą widokrąg. Na te spłoszone czy zapadłe słonki, jeżeli kilka ich w jednym ostępie zapadło, trzeba zaraz polować, bo te ostrożne i trwożliwe ptaki mogą się zerwać i ulecić, lub też na nogach szybko podążyć do sąsiedniego miotu. Jak już wspomniałem, na płoszone strzałami, pojedyncze, cofające się po za naganiaczów, lub ku niebu świdrujące i odlatujące w dalekie strony ptaki nie warto polować, szkoda zachodu, one jak rogacze wyrozumowały sobie całe niebezpieczeństwo. Gdzie trawy rosną lub bujny i wysoki mech, tam słonki nie zasiędą, one instynktem szukają przestrzeni zgniłym liściem zarzuconych, podobnego koloru do swego pierza. Są ulubione miejscowości, znane nam z czasem, do których dążą słonki, na wskazane przez przyrodę stacye, na nich zapadają niemal co roku, tak jak my zajeżdżamy do tych samych hotelów. Ktoby mniemał, że tu wychowane lub często w owych miejscach przebywające słonki prowadzą wędrowców, tenby miał mylne mniemanie. Kto i gdzie wskazał etapy, nikt nie odgadnie, a ornitalogowie i myśliwi przekonali się o rzeczywistem istnieniu tychże, u każdego gatunku ptaków, badanych na ciągu. Jeżeli słonki zmieniają w części swe stacye, przypisać to musimy wiatrom i atmosferycznym przeszkodom, gdy zaś je opuszczą zupełnie, to niezawodnie miejscowość musiała być przeistoczoną. Znam ubocza i krzaki, w których co roku zasiadają słonki w jesieni i na wiosnę, wcześniej lub później, lecz zawsze dążą do tych stacyi. Wystrzeliwałem wszystkie do nogi, ten sam los spotykał drugi i trzeci ciąg, a w przyszłym roku na tych samych miejscach zapadały inne, obce słonki, więc były to stacye widocznie instynktem wskazane.

Ostrzedz tu jeszcze muszę myśliwych, aby z wielką ostrożnością składali się do biegnącej lub siedzącej słonki, bo ona przenikliwemi swemi oczkami zobaczy najmniejszy ruch i dziwnie zręczna w ratowaniu swego życia w chwili strzału. skoczy za pniak lub wsunie się w krzak, albo w tył uleci bez strzału. Niekiedy miewa lot desperacki, mianowicie gdy bardzo spłoszona wpada w pośród koronę drzewa, tłucze się o gałęzie i w końcu z trudnością wydobywa się na wolną przestrzeń.

Najważniejsze dla myśliwych, aby znali sposoby szpiegowania przylotu i odlotu słonek bez znacznych kosztów, bez płoszenia hodowanego zwierza. Ciąg odbywa się najczęściej tak w jesieni, jak na wiosnę w czasie zakładania kultur leśnych, szkółek, przesadzania sadzonek i t. d. U siebie zaprowadziłem od niepamiętnych czasów ten zwyczaj, że robotnicy wieczorem przeganiają jeden lub dwa mioty, w których prawdopodobnie słonki znajdować się mogą milczkiem, i tego systemu radzę się trzymać. Przeganianie liczną nagonką jest kosztowne i wypłasza zwierza, szczególnie ono szkodliwe na wiosnę, gdy sarny i zajęczyce kotne wymagają spokoju. Przy pilnym i troskliwym dozorze straży leśnej jest jeszcze inny łatwiejszy i pewniejszy sposób. Wiadomo, że słonka z własnej woli nigdy się z gąszczu nie poderwie, lecz wybiega na linije, ścieżki, drogi lub leśne łączki, na których żeruje. Jeżeli wieczorami i nad ranem gajowi chodzą po tych miejscach, zawsze spłoszą słonki, gdy są w rewirze. Na wiosnę szpiegowanie o tyle łatwiejsze, o ile słonki krążą, szukając się wzajemnie, później zaś nader łatwo je wykryć po wydawanym głosie. Jak już wyżej wspomniałem, trzeba słonek szukać, gdy ich jeszcze nie ma, zwłaszcza przy lekkim wietrze wschodnim na wiosnę, zachodnim lub północnym w jesieni. Krocie razy meldowano mi o nieobecności słonek, towarzysze twierdzili, że nie było ciągu i niejedna partya poleciała do arabów lub do Szwedów i Huculów z powodu niedokładnego szpiegowania. Doświadczenie nauczyło nie szukać słonek na wiosnę w rzadkich krzakach, ani też w lesie, ku północy zwróconym, a szukać ich w jesieni w zaroślach na północ i zachód położonych. Nauczyło też ono nas nie szpiegować w czasie zimnej słoty i wichrów po krzakach, bo wtedy chronią się do gąszczów i wysokopiennych lasów. W rewirze, znanym jako słoneczny, przypominam sobie kilka polowań bez powodzenia w krzakach, a gdyśmy weszli do spokojnego zacisza leśnego, ruszyliśmy znaczną liczbę słonek. Chronią się one do lasu, ale przy powrocie słońca i ciepła znowu wylecą i pobiegną do krzaków i pastwisk zarosłych. Wielu myśliwych ma zwyczaj szukania słonek z wyżłem, jeżeli pies pewny i spokojny, w krzakach niskich i miejscach ułatwiających strzelanie, polowanie jest zajmujące i nader przyjemne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*

DZIADY MYŚLIWSKIE

na podstawie własnych doświadczeń

OPISAŁ

ZYGMUNT PIETRUSKI.

(Parafraza).

Chór:

Głucho wszędzie, ciemno wszędzie,
Co to będzie, co to będzie?

Guślarz:

Już bliski koniec ofiary,
Ostatnie uczynię czary;
Dajcie saletry dwie miarki
I jedną szczyptę też siarki
I prochu cztery naboje,
Dolejcie potem znów smoły
I niech ogniste żywioły
Razem pochłoną oboje!
Tylko żwawo, tylko śmiało!

Chór:

Jak kazałeś, tak się stało.

Guślarz:

Tak więc już czary ostatnie,
Przyzywam dusze te bratnie,
Co dawniej były myśliwe,
A dziś przez Boskie zrządzenia
Okropne znoszą cierpienia
I bardzo są nieszczęśliwe!
Jeśli więc wasze wciąż dusze
Okropne znoszą katusze,
Słuchajcie mego rozkazu,
Spieszcie tu wszystkie od razu,
Spieszcie bez żadnej zwady,
Dzisiaj święcimy Dziady!
A więc już czary zaczynam,
Przyzywam was i zaklinam!

Chór:

Mówcie, komu czego braknie,
Kto z was pragnie, kto z was łaknie?
(ukazuje się widmo myśliwego w chodakach, ubranego jak na polowanie błotne; przez obdarte odzienie widać oblepienie różnemi maściami i papierem Rigollot; niesie kilka flaszeczek różnych lekarstw i mocno kuleje, w koło niego uwijają się stada błotnego ptactwa.)

Guślarz:

Przebóg! cóż to znów za mara!
Ni to człowiek, ni poczwara!
Czego chcesz duchu przeklęty
Z twoimi medykamenty?
Gdy cię reumatyzmy bolą,
A nie ulży ci Rigollot,
Nic już, nic ci nie pomoże,
Idźże sobie precz nieboże!
Jakich żądasz leków, rady,
Po coś przyszedł tu na Dziady?

Chór:

Jak go reumatyzmy bolą,
Gdy nie ulży mu Rigollot,
Nic mu, nic mu nie pomoże,
Niechże idzie precz nieboże.
Niema leków, niema rady,
Czego przyszedł tu na Dziady?

Widmo:

Ptaszki! nie znacież mnie ptaszki!
Jam strzelec z sąsiedniej wioski,
Nie znałem smutku, ni troski,
A życie szło śród igraszki.
Po śmierci na tym padole
Okropne znoszę wciąż bole:
Ach jak reumatyzm mię nęka,
Ach co za ból, co za męka!
Gdyby snu ze dwie godziny,
Gdyby choć kroplę morfiny!

Guślarz:

Mów czego trzeba dla duszy,
Aby uniknąć katuszy,
Czy prosisz o chwałę nieba,
Czy o poświęcane gody?
Jest dostatkiem mleka, chleba,
Są owoce, są jagody,
A więc czego ci potrzeba,
Aby się dostać dc nieba?

Widmo:

Nie marzę nawet o niebie,
Bylem się zbliżył do ciebie,
Lecz kszyków, dubeltów tłuszcza
Na Dziady duszy nie puszcza!
Już od początku choroby
Minęły długie trzy doby
I straszne znoszę cierpienia,
A nic się wcale nie zmienia!
Choć noc się kirem obleka,
Wciąż sen odemnie ucieka
I członki zamarłe, trupie,
Straszny reumatyzm wciąż łupie,
I gdy na miękkie me łoże
Zbolałe członki ułożę,
Bole silniejsze znów czuję
I ciężko tak pokutuję,
I chodzę, chodzę i chodzę
I tem cierpienia me chłodzę,
A chociaż z sił już upadam,
Ani się kładę, ni siadam.
Tak od początku choroby
Minęły długie trzy doby
I wiecznie włóczyć tak muszę
Wciąż potępioną mą duszę.
Ach jak cierpienie mię nęka,
Ach co za ból, co za męka!
Gdyby snu ze dwie godziny,
Gdyby choć kroplę morfiny!

Chór:

Ach jak cierpienie go nęka,
Ach co za ból, co za męka!
Podajmy środek jedyny,
Maleńką kroplę morfiny!

Kszyk:

Ha! nie chcesz umierać z bolu?
A pomnisz, jako raz w polu,
Kiedy skoszono otawy,
Ty szedłeś z psem pośród trawy,
Pies gdyby szatan wcielony
We wszystkie zwija się strony,
Aż ściągnął — stanął — struchlałem,
Bo już mój los przeczuwałem!
Pies stał, jak drut wyciągnięty,
I nieruchomy, zaklęty,
I trąbę naprzód wysuwał,
Jakby mnie w miejscu przykuwał.
„Pójdź dalej!“ — ty wykrzyknąłeś —
Wzleciałem — ty na cel wziąłeś,
Strzeliłeś! — Ołów drobniutki
Skrócił mój żywot tak króki,
I chociaż zaraz martwy nie padłem,
Ale opodal w trawie usiadłem,
To czułem bole takie piekące,
Jakby zjadliwych gadzin tysiące
Pierś mi szarpały, darły wnętrzności,
I zapłakałem z bolu, z żałości
I już do lotu piór nie otwarłem
I w trzy tygodnie później umarłem!
Pudlarzu! Gdybyś dobrze był zmierzył,
Ołowiem w serce celnie uderzył,
Byłbym zginął bez cierpień, gdym bujał swo-[bodnie,
A tak konać musiałem przez trzy... trzy tygodnie.
Hej kaczki, dubelty, kszyki,
I my nie znajmy litości!
Kiedy za życia był dziki,
Niech dziś ból łamie mu kości,
A gdy podadzą mu leki,
Chociażby kroplę morfiny,
Niech wraz kto z naszej drużyny
Porywa to w świat daleki —
Nie znałeś litości Panie!

Dubelt:

Trapią cię bole piekące!
A pomnisz, jak raz na łące —
Chociaż to dawne już czasy —
Wciąż biłeś tłuste bekasy,
Lub przez naganne wybryki
Pokrewne nam biłeś kszyki.
Pies choć się w błocie zapada,
Wciąż szuka, pod wiatr podkłada,
Bo w tem polega psa sztuka,
Jeśli dubelta wyszuka.
Ja z żoną siedziałem w błocie,
Bo jak to u nas w zwyczaju,
U was zapadłem w przelocie
Z szwedzkiego dążąc aż kraju;
I szkodym żadnéj nie robił,
Jużem się w drogę sposobił
I jadłem nędzne robactwo;
Zwyczajnie jak błotne ptactwo;
Wtem gdy mnie ruszył legawy,
Burknąłem ciężko z otawy, —
Tyś wziął na oko, wycelił
Coup-double'm do nas wystrzelił,
Zabiłeś męża wraz z żoną!!
Potem nas w kuchni pieczono,
I znów przez wymysł wasz pański,
Iście piekielny, szatański,
Wnętrzności kucharz wywlekał,
Na kawałeczki posiekał,
Dał na grzaneczki, przysmarzył,
I tem stół pański obdarzył.
(To schnepfendrekiem się zowie)
A ty! Ach mąci się w głowie,
Ty zjadłeś nas na śniadanie!
Nie znałeś litości Panie!
Hej kaczki, dubelty, kszyki!
I my nie znajmy litości!
Kiedy za życia był dziki,
Niech dziś ból łamie mu kości!
A gdy podadzą mu leki,
Chociażby kroplę morfiny,

Niech wraz kto z naszej drużyny,
Porywa to w świat daleki!
Nie znałeś litości Panie!

Guślarz:

Kiedy nie chcesz jadła, chleba,
Więc masz, czego ci potrzeba:
Masz morfinę (rzuca), masz tu leki (rzuca),
Niech sen zamknie ci powieki.

Widmo:

Niema, niema dla mnie rady,
Nie tym ulżysz mi sposobem,
Cierpię męki wciąż za grobem,
Co dasz, to ptactwo rozrywa;
Bo tak zawsze w świecie bywa,
Że kto na błotach poluje,
Ten ciężko odpokutuje!
Niema, niema dla mnie leków,
Muszę cierpieć przez wiek wieków,
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!

Chór:

Nie ma, nie, dla niego leków,
Musi cierpieć przez wiek wieków,
Bo posłuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Boskiego rozkazu,
Kto nie uczuł litości ni razu,
Ten po śmierci nie może być w niebie.

Guślarz:

Gdy cię srogi ból wciąż drażni,
Próbuj jeszcze parnej łaźni,
Albo wybierz z wód indeksu,
I jedź kąpać się do Schmeksu,
A gdy nic ci nie pomoże,
Idźże sobie precz nieboże!
Nie chciałeś jadła, napoju,
To zostawże nas w pokoju!
A kto prośby nie usłucha,
W imię Ojca, Syna, Ducha!
Czy widzisz Pański krzyż?
A kysz! a kysz!

Schmeks w Lipcu.

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

ZAJĄC

PRZEZ

KAZIMIERZA REMISZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Odmiany zdarzają się rzadko, względnie jeszcze najczęstsze są leucyzmy, t. j. barwa płowa, najrzadsze zaś melanizmy, t. j. odmiana czarna. Nader częste są t. z. dziwotwory, czyli wyrodki, tyczące się tak zboczeń w budowie pojedyńczych członków organizmu, n. p. zębów, jako też i całego organizmu, jak n. p. zrośnięcia dwu osobników i t. d. Zające z rogami, o jakich dawne pisma wspominają, są czystym wymysłem, znajdują się wprawdzie w niektórych muzeach czaszki zajęcze z naroślami guzowatemi, t. z. nowotworami, lecz te zaledwie niejakie podobieństwo odległe z rogami mają.

Stanowisko (ostoja). Wspomnieliśmy już wyżej, że dla zająca najodpowiedniejszy klimat umiarkowany w okolicach urodzajnej gleby i że klimat zimniejszy przenosi nad gorący. Nie lubi on lasów rozległych nawet na równinach, a lasy górskie dla ostrego klimatu zupełnie mu nie odpowiadają. Najliczniej rozmnaża się na żyżnych równinach, gdzie się znajdują naprzemian lasy liściaste, pola uprawne i łąki, albo w okolicach lekko pagórkowatych, w których nie brak zarośli gęstych, remiz, dających ochronę przed ptactwem drapieżnem i niepogodą. Lasy szpilkowe, jako mniej żeru dostarczające, nie tyle mu dogadzają jak liściaste. W okolicach odpowiednich, urodzajnych, a tem samem dostarczających mu obfitego i różnorodnego żeru, żyje dość licznie nawet wtedy, gdy nie doznaje szczególnej opieki ze strony myśliwego, podczas gdy w innych, od natury mniej hojnie wyposażonych, mimo najstaranniejszej hodowli, nigdy się licznie nie rozmnoży. W ogólności najchętniej zając przebywa w pobliżu miejsca urodzenia. Dlatego też zając w lesie urodzony chwilowo tylko obiera sobie ostoję w polu, nie znajdując dość żeru w zrębach i na leśnych łąkach. Przesiaduje on zwykle w młodych podrostach i podrosłych okrajkach, w zimie zaś, podczas silnych mrozów, przenosi się w głąb lasu, kryjąc się w zacisznych gęstych zapustach.

Zając górski, który jest również leśnym, cofa się także w mroźnej porze w głąb lasów, w lecie zaś przesiaduje na krzaczystych, południowych stokach.

Zając polny na wiosnę przesiaduje zwykle w oziminach i nie ustępuje z takowych aż do żniw. W lecie trzyma się zbóż i zarośli polnych, gdy żniwa nadejdą, usuwa się przed sierpem i kosą z łanu do łanu. Gdy tych nie stanie, obiera siedzibę w otawach, wysokich, komeszowatych ścierniach, w kartoflach, burakach, remizach naturalnych i sztucznych i w okrajkach lasów. Na jesień znów się ściąga na pola i znaleźć go można wtedy na wczesnych oziminach, podorach, kartofliskach, buraczyskach, pod wysokiemi miedzami, na ścierniskach etc., etc. W zimie obiera sobie siedzibę w miejscach ku południowi położonych, w dawnych kamieniołomach, jamach powstałych przez dobywanie piasku i gliny, w głębokich pokładach i t. p., i t. p. W czasie zawieji i silnych mrozów ciśnie się do wsi, zalegając w sadach, zagumienkach i t. p.

Szczególnem jest zjawisko, że nawet w najlepszych rewirach trafiają się miejsca, których zwierz starannie unika. Diezel, w dziele swojem „*Die Niederjagd*“ twierdzi, że przyczyną tego jest grunt zimny, wapienny, albo wiele gipsu zawierający, w innych zaś miejscach, mimo najgorszego gospodarstwa łowieckiego, zawsze się zając znajdzie.

Zając górski i leśny nie grzebie sobie kotliny, lecz przebywa w t. z. miejscu, pod korzeniami starych drzew, w gęstym krzaku, paproci etc., zając zaś polny zawsze grzebie kotlinę, t. j. jamę, która tak jest obszerną, iż zaledwie część grzbietu z takowej wystaje. W lecie zalega głową ku północy, w zimie ku południowi, w porze zaś wietrznej siedzi zawsze pod wiatr. Do kotliny lub do miejsca nie idzie zając nigdy w prostym kierunku, lecz przedtem kluczy i zrzuca, aby w ten sposób trop swój zgubić

Żer. Tak jak się różni zając leśny i górski od polowego siedzibą, tak też i żer ich rozmaity. Zając leśny żywi się ziołami leśnemi, trawą na łąkach leśnych, żołędzią, bukwią, w zimie zaś korą najmłodszych pędów brzozy, akacyi, dębów, jesionów etc., tylko nie olszy i lipy, jako też pączkami drzew ściętych na zrębach. W braku takiego żeru wychodzi na pola i wtedy żeruje tak samo jak zając polny. Zając górski żyje przeważnie ziołami aromatycznemi

i rzadko szuka innego żeru na polach, jeżeli takowe są w pobliżu. Zając polowy spasa posiewy ozime, jak długo one nie mają kolanek, poczem tylko przez dzień chroni się w tychże oziminach, a na żer wychodzi na pola, zasiane jarzyną, z której najmilszy mu jęczmień. Skoro i jarzyna podrośnie, a łodygi stwardnieją, sz ukazając żeru na ugorach, spasa świeżo posadzone kapusty, buraki, które obok pietruszki i goździków ogrodowych *(dianthus)* są jego ulubionymi przysmakami. Pietruszką można zająca z daleka nawet znęcić. Również chętnie żeruje na koniczynie, rzepakach i kukurudzy, z ziół zaś przenosi nad inne zawierające soki do mleka podobne, n. p. lwi ząb *(leontodon taraxacum)*. W zimie przeważnie spasa ruń zbożową, a gdy go śnieg zasypie w kotlinie, nie rusza z miejsca, lecz zjada piórka oziminy, które obok siebie znajduje. Gdy się utworzy na śniegu skorupa, której nie zdoła przebić i zamknięty ma przystęp do oziminy, ogryza korę drzew, ciśnie się do ogrodów i gumien, szukając co się nadarzy, cierpiąc straszny głód, jeśli myśliwy o swój zwierzostan nie dba i karmy nie podrzuca. Wiele wtedy zajęcy ginie w samołówkach z drutu, które już i nasi kłusownicy nauczyli się stawiać w sadach swoich, wiele też wynosi się do sąsiednich rewirów, jeżeli tam znajdą lepsze warunki bytu.

P a r k o t n i a. Zając ma usposobienie bardo erotyczne, a popęd płciowy nie ogranicza się na pewną porę, lecz zawisłym jest jedynie od stanu powietrza. W łagodnych zimach zaczyna się parkotnia przy końcu Stycznia, w ostrych zaś, bardzo śnieżnych, z powodu utrudnionego żerowania, a tem samem mniej dobrego odżywiania, czasem aż w Marcu. W okolicach, w których uprawiają wiele rzepaku i koniczu parkotnia rozpoczyna się rychlej. Najlepszy zaś rok dla zajęcy bywa ten, w którym parkotnia rozpoczyna się dopiero w Marcu, nie ginie wtedy pierwszy rzut skutkiem spóźnionych przymrozków. Gdy Styczeń i Luty ciepły, przypada pierwszy rzut na początek Marca i zwykle wtedy skutkiem zimna i zamieci śnieżnych giną nie tylko małe zajączki, ale i wiele samic z powodu rozkładu pokarmu. Początek parkotni poznać można po czerwonych miejscach na śniegu i po pozostawionej wszędzie turzycy.

Dietrich aus dem Winckel w znakomitem swem dziele opisuje parkotnię równie dosadnie jak dowcipnie: „Już z początkiem parkotni uganiają samce za samicami, węsząc po tropach jak psy. Skoro się parka znajdzie, wnet się rozpoczynają pieszczoty. Samica ugania w kółko, samiec ją ściga; nie długo jednak to trwa, bo samica dopada samca i daje mu praktyczne wskazówki tego, co ma czynić. Po takiej lekcyi spieszy samiec czynem udowodnić swoją w tej mierze pojętność, jest jednak na tyle niedelikatny, że w chwili największej ekstazy drapie niemiłosiernie swoją ukochaną, zaścielając małżeńskie łoże jej turzycą.

Nie braknie jednak wybranemu rywalów; ci skoro spostrzegą, co się święci, spieszą mu odbić bogdankę, lub co najmniej szczęście jego podzielić. Zagrożony zakłóceniem spokoju pożycia małżeńskiego, stara się biedny zając, niedowierzając widocznie wierności ukochanej, uprowadzić ją, samica jednak znając doskonale sytuacyę i przewidując nowe rozkosze, wzbrania się być mu posłuszną. Zaczyna się tedy walka. Zazdrością pałający współzawodnicy nacierają na siebie odważnie, udzielając sobie wzajemnie policzków, chwytają zębami za słuchy. Walka kończy się tem, że albo najsilniejszy odpędza innych, albo który mądrzejszy niepostrzeżenie opuszcza pole walki i uprowadza samicę, która woli ciche wesele nad bezowocne przypatrywanie się walce, nużącej bezpotrzebnie siły zapaśników, które jej zdaniem zdałyby się na co innego".

W rewirach bogatych w zające nieraz i ośm gachów jedną ściga samicę i wtedy przy tak niekorzystnym stosunku płci do siebie zdarza się często, że wiele samic ginie z wysilenia, zamęczonych nieustannem niepokojeniem. Po 30 do 31 dniach koci się samica i zwykle pierwszy rzut składa się z dwojga, czasem trojga zajączków. Jeżeli pierwszy rzut w Marcu, to drugi następuje w Maju, a składa się z 3—5 młodych; trzeci w Lipcu, zwykle tak liczny, jak drugi, czwarty zaś i ostatni we Wrześniu, w którym zwykle jedno tylko młode się koci. Jeśli zaś parkotnia rozpoczęła się już w Styczniu, może być i piąty rzut w Październiku. Czasem w bardzo pięknej i ciepłej jesieni trwa parkotnia aż do Października, nieraz bowiem zdarza się ubić kotną zajęczycę w Grudniu. Tak późny rzut jednak nigdy się nie wychowa i samica nawet zwykle po okoceniu się ginie.

Zajęczyca jest najgorszą matką. Przy młodych pozostaje zaledwie 5 do 6 dni i skoro niebezpieczeństwo gorączki pokarmowej minie porzuca młode na łaskę losu, szukając nowych związków małżeńskich. Tej to przyczynie należy przypisać, że tak mało uchowa się młodych, które bez opieki tem łatwiej stają się pastwą drapieżców i niepogody.

Oprócz wszystkich innych wrogów, o których później będzie mowa, prześladuje gach (samiec) młode, gdziekolwiek je spotka, zagryzając lub zabijając przednimi skokami. Bardzo ciekawy, jedyny w swoim rodzaju wypadek opisuje „Wiener Jagdzeitung" z roku 1864: „W rewirze Ascherhütte księcia Altenburgskiego, po roku nieszczęsnym 1848, w którym jak wiadomo zniesiono czas ochrony zwierzyny łownej, polowano raz jeszcze w Lutym 1849 na zające, aby położyć koniec narzekaniom chłopów na szkody na polach. Między niewielu zającami, które na tem polowaniu padły ofiarą, znajdował się jeden bardzo gruby. Powszechnie sądzono, że to kotna samica, przy bliższem badaniu okazało się jednak, iż to był gach. Chcąc się przekonać o przyczynie, rozpruł leśniczy M. zająca i znalazł ku największemu zdziwieniu obecnych w żołądku gacha szczątki zjedzonego zajączka, a mianowicie turzycę, dobrze zachowane słuchy, kilka kostek, a między temi obie szczęki. Szczęki te odesłano do muzeum przyrodniczego uniwersytetu w Jena". Że króliki samce i gachy zabijają młode, celem przyspieszenia ponownego biegania się, nie ulega wątpliwości, ale żeby zjadały młode, a raczej połykały, w czem przeszkadzałyby im nader długie strzyże, to już zakrawa na bajkę.

Młode jednego rzutu nie oddalają się od siebie, ani też od miejsca, gdzie się wylęgły. Każde osobną grzebie kotlinę w oddaleniu kilkudziesięciu kroków od siebie. W dzień dosiadują tak twardo, że je rękami brać można. Na żer wychodzą wspólnie, wspólnie też wracają do kotliny i dopiero dorósłszy połowy normalnej wielkości, rozdzielają się i żyją odtąd osobno. W 15tym miesiącu, a w nader korzystnych warunkach po roku, dorasta zając swej zwykłej wielkości. Do rozpłodu zdolne są młode już w szóstym miesiącu. Młode samice pierwszego rzutu rodzą często już w Sierpniu jedno młode, które jednak zwykle ginie. Najdłuższy wiek zająca wynosi tylko 7 do 8 lat

i zdaje się, że nadzwyczajna lubieżność, powodująca rychłe wyczerpanie sił żywotnych, jest tego powodem.

W niewoli łączy się zając z królikiem, a owocem tego związku są tak zwane leporydy. Alfred Roux z Angoulême, prezes Towarzystwa gospodarczego, był pierwszym, który po wielu trudach dochował się bastardów zająca i królicy. Okazy te samic pół krwi krzyżowa zrów z zającami i otrzymał mięszańce $^3/_4$ krwi, które są większe i ładniejsze od rodziców, ale mało płodne, gdyż tylko 2—5 młodych rodzą i chów ich z tego powodu małoby się opłacał. Skoro się jednak złączy samce $^3/_4$ krwi z czystej krwi królicami, otrzymuje się bastardy po 5 do 8 młodych rodzące, które już w czwartym miesiącu zdolne są do dalszego rozpłodu, a dochodzą 8 do 10 funtów wagi. Są to właśnie te tak zwane leporydy, których chów we Francyi w ostatnich czasach ogromnych doszedł rozmiarów. Czy na wolności zające łączą się z królikami, dotąd nie jest dowiedzionem, to jedno jest pewne, że zające sąsiedztwa królików nie znoszą. Z bielakiem *(lepus variabilis)* łączy się zając i widuje się nie tak rzadko mięszańca w okolicach, gdzie zając w stanie dzikim obok bielaka żyje.

Charakter i sposób życia. Zając jest bardzo bojaźliwy, zdarzają się jednak wypadki, że w niebezpieczeństwie odważnie się broni. Tak n. p. opowiada pewien myśliwy, że zając z odstrzelonym skokiem nie dał się wziąć psu, który go miał przyaportować, lecz odpędził go, bębniąc po łbie przednimi skokami. Również zdarza się, że zajęczyca skutecznie obronić potrafi młode przed napaścią wron i srok. Zwykle jednak w niebezpieczeństwie traci zając głowę i popełnia ze strachu pocieszne pomyłki. Pod tym względem pisze n. p. bar. Thüngen: „Na granicy mego rewiru polowałem na ścierni na wydeptanego. Toż samo czynił mój sąsiad w odległości 600 kroków. Naraz pomyka przed sąsiadem zając, którego ten chybił i w tejże samej chwili chybiłem i ja najszkaradniej z obu luf zająca, który mi z przed samych nóg pomknął. Oba zające pędziły ku sobie, a zobaczywszy się w chwili, gdy się już omal głowami miały zderzyć, jakby różczką czarodziejską tknięte, oba zakołkowały ku niemałej naszej uciesze. Tak siedziały przypatrując się sobie nawzajem kilka minut, aż raptem, jakby na komendę, zwróciły się i pouciekały w największym pędzie w przeciwnych kierunkach“.

Cechą charakteru zająca jest wesołość i przebiegłość. Jest on faktycznie czasem przebieglejszy, niż by to o nim przypuścić można było. Dość wspomnieć n. p., jak zając przed psami kluczy i zrzuca, aby tropy pobałamucić i zyskać na czasie. Przed biglami najlepiej on pokazuje co umie, ratując się ucieczką przez wodę, na pochyłe drzewa, do nor lisich, lub wpadając między trzodę. Poszczuty chartami często ruszy drugiego zająca, a sam w jego kotlinie przycupnie. Zdarzyło mi się, żem polując na wydeptanego odbił skok tylny zającowi, a ten w ucieczce drugiego zająca ruszył, sam w jego kotlinie się chroniąc. Tego drugiego widziałem jak pomykał i zabiłem go z lewki, mając prawkę wystrzeloną, pierwszego zaś zająca pies doszedł. W potrzebie śmiało zając płynie przez wodę; nawet szerszych rzek się nie obawia. W roku 1882 zabiłem zająca, który przez nagonkę naciśnięty w łozach, śmiało do Sanu wskoczył i bez mojej interwencyi byłby zapewne na drugą stronę przepłynął.

Odznacza się również zając złośliwością, której najlepsze daje dowody zabijając młode, skoro je tylko znajdzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka słów o Burjatach i ich polowaniu.

Częścią przed, a głównie za Bajkałem, miejsca stepowe zamieszkują Burjaci, szczep rasy mongolskiej, z wybitnemi rasy tej cechami. Burjaci są wzrostu średniego, o czarnych włosach, w warkoczyk na czubku głowy splecionych, o płaskim nosie, ukośnych wąskich oczach i mocno wystających kościach policzkowych. Zostając pod ogólną kontrolą administracyi rządowej, której najbliższem policyjnem okiem i ręką pobierającą podatki, są „isprawnicy“ okręgowi, Burjaci dzielą się na tak zwane „stepne dymy“, mające swój własny zarząd, wykonywany prawie despotycznie przez naczelnika „tajsza“, z pomocą „zajsanów“ i „starszyn“ rodowych. Ci ostatni odgrywają w zarządzie role podobne do tych, jakie się u nas dostają sołtysom. Chociaż, jak wspomniałem, „tajsza“ ma u Burjatów władzę prawie despotyczną, niektóre jednak ważniejsze sprawy przechodzą przez ogólne zebrania (sugłan), decydujące większością głosów, ale większość ta, wskutek wczesnej agitacyi zajsanów i starszyn, jest tylko prostem echem życzeń lub woli tajszy.

Życie prowadzą Burjaci pośrednie między koczownictwem i osiadłością. W połowie Maja opuszczają jurty zimowe, zwykle z kloców modrzewiowych pobudowane. Niepotrzebny już im piec, czwartą część mieszkania zajmujący, niepotrzebne odgrodzenie dla cieląt i jagniąt, z któremi razem zimują, a tak dobrze jak w zimowej, mogą i w letniej jurcie, siedząc na niskich „narach“ z podwiniętemi pod siebie nogami, pobożnie przebierać różaniec, albo też lubować się mosiężną „gamzą“, o wcale niearomatycznym dymie domowej uprawy tytoniu.

Około jurt letnich sieją jare zboże, koszą siano na zapas zimowy i oddają cześć naczelnemu bóstwu „Burchanowi“, bijąc przed nim pokłony i składając mu w mosiężne naczyńka homeopatyczne ze swego dobytku ofiary. Ale biada Burchanowi w razie klęsk i niepowodzeń! W czasach n. p. posuchy, ciągłych deszczów, długiej w domu choroby, lub pomoru na bydło, bywa wyrzucany na śmiecie, nieraz biczem smagany, aż znowu ze zmianą na oczekiwane lepsze, jako poprawiony, powraca uroczyście na ołtarzyk swój, w prawym węgle jurty ustawiony.

Burjaci są wielożeńcami, rzadko jednak więcej nad trzy kobiety pojmują w małżeństwo. Najmłodsza wiekiem lub chwilą zamęzcia zajmuje się gospodarstwem domowem, w którem czystość, nie można powiedzieć, żeby pierwsze zajmowała miejsce. W jurtach mniej nawiedzanych przez przejeżdżających, dziś jeszcze zdarza się widzieć mycie filiżanek, dokonywane sposobem arcypierwotnym, bo zapomocą palca lub języka.

Wielu z Burjatów trudni się myśliwstwem, więcej jednak dla spodziewanych zysków, niż z amatorstwa. Głównym celem wypraw myśliwskich jest popielica, soból, łowienie lisów w żelaza, lub branie ich na trutki, wycieczki na sarny, łosie, jelenie skalne (iziubry), na niedźwiedzie i wilki. Ten ostatni sport jednak odbywa się wtedy tylko, kiedy potrzebują zabezpieczyć się od szkód, jakie zwierzęta te zrządzają im w stadach koni, bydła i owiec, wolno na step puszczonych. Polowanie na iziubra odbywa się w pierwszej połowie Czerwca, to jest w czasie, kiedy rogi jego nabiegają pewnym rodzajem krwistej galarety, używanej przez Chinczyków na lekarstwo, które musi być nader poszukiwanem, jeśli za parę rogów płacą 200 do 400 rubli srebrem. Przypadek zdarzył, że w polowaniu na tę pożądaną zwierzynę przyjąłem raz udział. Na północ od miasteczka Barguzina leży step, szeroki mil kilka, a kilkadziesiąt długi, zamieszkały przez Burjatów. Step ten, ujęty w dwa pasma gór Bajkalskich, opiera się wschodnią stroną o łańcuch, pokryty trawą lub lasami, zachodnią zaś dotyka do pasma imponujących dziką nagością skał granitowych, od których podnóża niedaleko zbudował sobie letnią jurtę dobrze mi znajomy Burjat Mandargaczi. Miał on tam liczne stada koni, bydła i owiec, uprawiał rolę pod jare żyto, owies i jęczmień, w dniach zaś chęci lub potrzeby wyruszał na polowania.

Błotnem ptactwem, którego niezmierna ilość gnieździła się w sitowiu i trzcinach gęsto na stępie rozsianych jezior, jako przedmiotem polowania w naszem rozumieniu Mandargaczi gardził, uważając je za niewarte strzału. I chociaż pod jesień jeziora zdawały się być śniegiem ruchomym od białości poważnych łabędzi, i chociaż mój tała (przyjaciel) znał dobrze wartość puchu, przecież nie śmiał strzelać do świętego ptaka *). Znęciła go czasami wielka, ślicznego opierzenia, czerwona kaczka i tę bił ze skałkowej, na koziołku wspartej gwintówki, na inne jednak gatunki jeśli robił wyprawy, to wtedy tylko, kiedy były wypiórami lub kłapakami, które kłuł ością, stojąc w wyżłobionej z kloca brzozowego łódce, sterowanej przez chłopca. Kundle, puszczone między kępy i trzciny, napędzały na płytką wodę nadbrzeży biedne ofiary trójzęba, pod którym nieraz całe setki padały.

Mandargaczi, gospodarz i myśliwy, był zarazem przemysłowcem. Dostawiał mięso, zboże i t. p. prowianty do niedalekich, rozumie się niedalekich względnie, bo o jakie 50 mil od niego odległych kopalni złota. Te to właśnie jego dostawy dały początek naszej znajomości. W Czerwcu, przed kilku laty, wybrałem się do niego w interesie kopalni, które mój pryncypał eksploatował w barguzińskiej tajdze. Jechałem konno z kilku robotnikami i pewną liczbą koni jucznych, mających zabrać część owsa, jaki u Mandargaczego nabyć zamierzałem. Janczary na koniach, zawieszone zwykle dla odstraszenia zwierząt drapieżnych, zdala już brzękiem swym przybycie podróżnego obwieszczały, nie dziwna więc, że stanąwszy u celu podróży, gospodarza jurty zastałem przed progiem.

— Mindu, mindu, tała! — rzekł poznawszy mnie.

— Tamindu, mindu! *) — odpowiedziałem i w kilku słowach objaśniłem o celu mego przybycia.

— Zgoda, a tymczasem proszę do jurty. Moja **) ma dziś chrzest. Proszę! — i nie dając mi czasu na zapytanie co za chrzest mianowicie, wprowadził do mieszkania. Wprost drzwi, na niskiem łóżku, w pół leżała jego żona, z kożuchowem w ręku zawiniątkiem, z którego dobywał się płacz dziecka. Sama jurta pełną była gości, a z roznieconego pośrodku ognia dym gęstym słupem uchodził w czworokątny otwór na dachu. Na wejście nasze nikt nie zwrócił uwagi, część bowiem obecnych szepcąc słowa modlitwy, biła Burchanowi pokłony, inni zaś ustawiwszy przy łóżku pustą kolebkę, silnie gestykulując, szeptali coś siedzącemu przy niej chłopcu, ubranemu, jak wszyscy, w szaty świąteczne. Burjatki miały uszy ozdobione w złote lub srebrne kulczyki, szyje w cenne sznury korali i monet nanizanych na nitki. Ozdoby te i czerwone szarfy, przeciągnięte od prawego ramienia, wyróżniały kobiety burjackie od mężczyzn, od których fizyonomią i strojem codziennym nie wydzielają się wcale na pierwszy rzut oka. Mężczyźni nie mają zarostu, a obie płcie chodzą w jednakowego kroju zwierzchniem ubraniu i w szarawach, zapuszczonych w cholewy obuwia. Trafiliśmy na początek tego, co gospodarz nazwał „chrztem“, w braku russkiego wyrazu, bliżej określającego cel zebrania, a celem tym było właśnie coś analogicznego z przyjęciem w poczet wiernych nowo na świat przybyłego członka. Z udzielonych mi przez Mandargaczego objaśnień dowiedziałem się, że u Burjatów nowonarodzone dziecko przez trzy dni leży owinięte w owczą, mięko wyrobioną skórę, z wyciągniętemi jak struna nóżkami, ręce zaś ma ułożone na skroniach, żeby nie zmieniło położenia, jakie w ich przekonaniu miało w żywocie matki. Dla utrzymania go w żądanej pozycyi i zarazem dla zabezpieczenia oczów od zadrapań, całe jest spowite ręcznikiem. Na czwarty dzień, a tym był dzień mego przyjazdu, nowonarodzone przenosi się do kołyski, z ceremonią nazwaną „torilgo“. Do jurty położnicy zbierają się krewni i przy kołysce (ołgej) sadzają brata lub siostrę przybyłego na świat, a w braku rodzonych dziecko krwią najbliższych. W poprzek kołyski kładą wtedy surową baranią łopatkę i obok niej nóż. Po dopełnieniu tej wstępnej czynności, najstarszy rodem zapytuje siedzącego przy kołysce: „Jak spowinąć dziecko, do góry, czy w dół głową?“ — „Do góry“. Nóż i łopatka przekręca się wtedy wzdłuż kolebki. Następuje nowe pytanie: „Co trzeba spowinąć, dziecko, czy łopatkę?“ — „Dziecko“ — odpowiada malec, a najpoważniejsza z kobiet zabiera od matki nowonarodzone i kładzie w kolebce na miejscu baraniny, idącej na pieczyste, którem, jak również i narodową potrawą „sałamat“ (mąka prażona w śmietanie), ugaszczają się do syta, gęsto popijając „araką“, t. j. trunek, pędzony z mleka, czy też serwatki, jakiej smaku i zapachu nie pozbywa się, przepuszczony parokrotnie przez pewien rodzaj alembika. Jedząc mięso Burjaci zwykle trzymają w zębach większe kawałki i kęsy do zjedzenia, obcinają przy samych ustach, ale podczas torilgo noży nie używają zupełnie. Po objedzeniu

*) Łabędzie, jakby wiedziały o tem, że u Burjatów są w czci i poszanowaniu, gdyż lękliwe i ostrożne gdzieindziej, tutaj z widoku człowieka nic sobie nie robią.

*) Zwykłe u Burjatów powitanie, mieszczące w sobie okazanie zadowolenia z widoku witanej osoby i życzenia jej pomyślności.

**) Zaimek używany zwykle zamiast osobistego przez aborygenów syberyjskich.

przechodzącej z rąk do rąk świątecznej w tym dniu pieczeni, pozostałe kości chowają pod podłogę, z wyjątkiem kostki stawowej (szagaj), którą przywiązują u węzgłowia kolebki. Obok niej zawieszają nóż, miniaturowy łuk i strzały, a niekiedy krócicę. Uzbrojenie to ma na celu rzucenie postrachu na duchy nieczyste, które w przeciwnym razie mogłyby szkodliwy jaki figiel wypłatać położonemu do kołyski dziecku. W takim porządku i z tą wiarą odbyło się „torilgo“ u Mandargaczego.

Załatwiwszy nazajutrz interes, wybierałem się w powrotną podróż, ale Mandargaczi widząc, że prócz dubeltówki mam ze sobą sztucer, zaproponował mi wycieczkę na „iziubry“. Propozycyę przyjąłem chętnie, nęcony i nowością polowania i perspektywą zysku, jaki dać mogło. Zaraz z południa puściliśmy się w drogę, a raczej bezdroże, między nagich gór urwiska i wąwozy. Częścią wierzchem, a więcej pieszo, po kiku godzinach dotarliśmy do miejscowości, gdzie spadający kaskadą strumyk wił się z szumem i pryskiem po nagiej jeszcze, ale już u podnóża zielonością pokrywającej się górze. Na chwilę zginął nam z oczu, aby na jednym ze skrętów okazać się rzeczką, spokojnie płynącą przez obszerną dolinę, usłaną trawą i kwiatami. Tu wypoczęliśmy krótko, bo trzeba było pospieszać do źródeł słonych wód, do których o brzasku lub zmroku zwierzyna podchodzić zwykła. Nim jeszcze słońce zaszło stanęliśmy na miejscu. Było tam parę starych szałasów, które mieliśmy czas poprawić, urządzić w nich posłania z trawy i zasiąść. Aby nie zdradzać się przed delikatnym węchem jelenia, musieliśmy wstrzymać się od palenia tytoniu, a była to przykrość nielada, zwłaszcza w obec napaści moskitów i komarów, które możeby dymem odstraszyć się dały. Nie można było i oganiać się gałązką, czy chustką, aby szumu nie robić. Zacząłem już trochę tracić cierpliwość, kiedy szczęściem wiatr zawiał i uniósł gdzieś dalej natrętnych gości. Wychyliłem się ostrożnie z szałasu. Kilka sarn zbliżyło się w wesołych podskokach, polizało sól na miejscach, gdzie woda wyparowała i wolno a z gracyą zwróciło w niedaleki parów. Zmrok wieczorny powoli zamienił się w noc. Z myślą i nadzieją zobaczenia iziubra należało się pożegnać. Tego zdania był i doświadczony mój towarzysz, który cicho podszedł do mnie z radą, żebym jeśli można nie palił i położywszy się spać o świcie gotów był na czatach. Czy spałem lub nie, nie wiem, to pewna tylko, że niedługo przed rozwidnieniem wytężałem wzrok w stronę wczorajszej sarniej wizyty. Zaledwie pierwszy brzask mógł zarumienić niebo, usłyszałem trzask gałązek, pękających pod nogami zwierza, z pewnością cięższego od sarny. Ogarnął mnie jakiś niepokój oczekiwania, a serce mocniej zabiło, gdy dojrzałem zbliżającą się ciemną masę, z zarysowanymi niejasno, a jednak niewątpliwymi rogami. Zwierz zwrócił się do mnie lewym bokiem. Odległość nie przenosiła 50ciu kroków. Złożyłem się i wypaliłem. Strzał wydał mi się jakby podwójnym, a okazał celnym, bo zwierzę runęło na miejscu. Uradowany pobiegłem do powalonej sztuki, ale radość moja była niedługą. Ujrzałem rozciągniętego nie iziubra, lecz łosia, z którym nawet Mandargaczi nie wiedział co zrobić. Mięsa nie było gdzie troczyć, a skóra w tej porze na nic nie przydatna. Mandargaczi był szczęśliwszy. To co mi się wydało jakby podwójnym strzałem, było nim rzeczywiście. Wystrzeliwszy jednocześnie ze mną, zabił okazałego iziubra. Z niezwykłą wprawą i zręcznością oddzielił rogi i przymocował je za siodłem. Poświstując z zadowolenia, a poświstywać rzadko zdarza się Burjatom, Mandargaczi powykrawywał po kawałku mięsa z każdej ze sztuk ubitych. Był to materyał na „szaszłyk“ *), który mimo że twardy trochę, z wilczą chciwością zdzieraliśmy z drewnianych rożenków. Tak ucztowaliśmy na miejscu naszego koczowiska, a Mandargaczi zachęcał do popijania araką, której spory zapas miał ze sobą. Wkrótce też i mnie, chmurnemu dotąd, raźniej się zrobiło. O doznanym zawodzie zapomniałem po trochu, i kiedy po trudach dalszej górzystej drogi okazała się nam gościnna jurta, śmiałem się już z niefortunnej mojej wyprawy na iziubra, szczerze za to winszując tryumfu Mandargaczemu. *K. H.*

---

*) Cienkie kawałki mięsa, po lekkiem osoleniu nasadzone na drewniane patyczki i opiekane na ogniu. Szaszłyk, szczególniej z młodej baraniny, jest bardzo smaczny, a w każdym razie praktyczny w podróży, gdzie popasy i noclegi pod gołem odbywa się niebem.

KNIAŹ-KŁUSOWNIK

przez

Aleksandra Ubysza.

(Dokończenie).

Hoholów i okolica cała aż ku niedalekiej rosyjskiej granicy wołyńskiej gubernii — to istne Polesie. Tu poczyna się kraina płaska, moczarowata i leśna. Budowa chat, strój ludu, akcent mowy, typy twarzy nieodmienne od właściwego Polesia. Nawet cmentarze, jakkolwiek znacznie mniej, jak dawniej, mają poleskim, a raczej pogańskim obyczajem, wiele stawianych budek drewnianych nagrobowych. Cmentarze w tej okolicy urządzają się w głębi lasu lub u skraja jego, a u mogił wznoszą się sosny posadzone lub samosiejki. Smutne też i przygnębiające ducha owe cmentarze.

Kowal Seduszczyj był prawdziwym Poleszukiem, nie dziw więc, że sobie tu obrał siedzibę. Z Możarowskim mówił zwykle po rusku, ze mną zaś lubo wiedział, że biegle mówię tym językiem, jakąś dziwną mięszaniną, z czego wynikały między nami nieporozumienia, obudzające śmiech serdeczny. „Et! proszu pana — mówi do mnie w czasie podróży — ne ma na świeci tyla ptachów, co w Jastrzębicy, ho! ho! żeb oni widzieli, jak człowik streli do seduszczy chmary, to strach“. Za podane mu przezemnie cygaro podziękował słowami: „całuję stopnie“, na co ja i Możarowski wybuchnęliśmy śmiechem. „Abo szo, abo to nie po polski?“ replikował lingwista. Przez całą drogę wiodłem z ciekawym tym kowalem rozmowę po rusku, a on zawsze odpowiadał swoją dziwaczną mięszaniną. Stanęliśmy wreszcie w Jastrzębicy. Ciekawa to miejscowość! Rzeka Bug płynie błoniami do samego prawie Krystynopola kilkudziesięcioma korytami, co wielce utrudnia spławność tej płytkiej, krętej i leniwo płynącej rzeki. Wybrzeża tych koryt płaskie i moczarowate, są zbiorowiskiem wodnego i błotnego ptactwa.

Z początkiem ruszyliśmy moczarkiem. Wyżła nie miał Możarowski, ani go też było potrzeba, bo co chwila zrywało się kilka lub kilkanaście bekasów. Możarowski strzelał gęsto i trafnie, podziwiałem jego strzały i szybkość brania na cel. Ja charciarz z powołania strzelam źle, więc co stuknę, to pudło. Mówi mi Możarowski: „Ej! coś widzę strzelasz po lwowsku“— „Et nie, zwykle strzelam dobrze (skłamałem haniebnie), jeno widzisz, czasem to taki dzień na mnie“. — „Aha! prauda — potwierdził kowal, który jeszcze lepiej, jak ja pudłował — peunie uroki, ktoś musiał nas zhlanąć, pek tobi! Naj pan ze mną pudzi — dodał półgłosem — naj ten hałapaśnik sam chodzi, my inacz będziemo strylali baranci (bekasy) i kaczki“. Odłączyliśmy się tedy i poszliśmy na inną kępiastą stronę błota. Mimo Czerwca trawa nie była zbyt gęstą, dobrym wzrokiem można było wszystko dostrzedz w niewysokiej osoce. Idziemy wolno pilnie się rozglądając, wreszcie kowal zmierzył się, po strzale poderwało się kilkanaście bekasów, jeden został. „Ot tak najlepsze — zawołał kowal z tryumfem — mierzyć nie w ptacha, ino w hołowku“. Próbowałem i ja strzelać do siedzących bekasów, ale jakoś nie szło, mierzyłem w ptaka, trafiałem w ziemię, rozbryzgał się torf po strzale, a bekas poleciał, więc użyłem kowalowego systemu mierząc w hołowku i dobrze było. Ubiliśmy we dwóch sztuk kilkanaście przebuszowawszy przestrzeń całą, poczem siedliśmy w czółno i ruszyli na kaczki. Kowal swoim zwyczajem strzelał do siedzących, ja do podrywających się. Około południa dla odpoczynku i pożywienia zeszliśmy się u wózka, pozostawionego pod sosnowym lasem. Możarowski dźwigał pęk bekasów, sztuk przeszło 40, ja z kowalem zabiliśmy 12 bekasów i 9 kaczek. Mówię ja do Możarowskiego: „Bekasy dobre, ale kaczki djabła warte, chude jak trzaski“. — „W pasztecie będą wyśmienite, zobaczysz, zrobię pasztet z nich, jakiego sam cesarz nie jada“. Po posiłku i drzemce około godziny trzeciej mówi Możarowski do kowala: „Możebyśmo piszły za spłuszkamy“ — „Czomu ni, sut meże łozamy“. — „Co — mówię zgorszony, zające strzelać?“ — „Alboż złe z buraczkami lub w potrawce z pieczarkowym sosem?“ — „A bodajże cię smakoszu, strzelaj sobie sam, ja nie pójdę“. Poszli tedy sami, a ja ruszyłem ku odnodze Bugowej użyć kąpieli i na połów raków, w czem jestem mistrzem. W kilku godzinach, bez żadnego przyrządu, ręce tylko wkładając w nory racze, ułowiłem około trzech kóp sporych raków. Możarowski z kowalem ubili cztery zające w łozach. Z taką zdobyczą kłusowniczą wróciliśmy do domu. Możarowski jak wojski Mickiewicza osłonięty ogromnym, białym fartuchem, z zapałem i przyjemnością oddał się kucharstwu, spodziewając się licznego zjazdu w dniu swego patrona Nadszedł wreszcie ów wielki dzień. Nadjechał też ks. Marek, gwardyan klasztoru bernardyńskiego z Sokala w towarzystwie braciszka. W dniu tym odśpiewał ks. Marek mszę w cerkwi, zbudowanej przez ojca Antoniego na wzór cerkwi św. Jura we Lwowie. Piękna, murowana, czysto zewnątrz i wewnątrz wybielona, lubo na płaszczyznie stojąca, widną była zdala. Parochem był tu i w Radwańcach, gdzie mieszkał, ks. Kalitowski, staruszek spokojny, powszechnie szanowany, wielce trapiony przez swego syna. Od pięciu lat wyszedł z seminaryum, a nie pełnił funkcyj duchownych z powodu jakiegoś wstrętu do małżeństwa. Kolosalnych rozmiarów i tuszy, próżnował w domu ojcowskim. Jak się później dowiedziałem, ożenił się wreszcie, wyświęcił i parochuje w Radwańcach i w Hoholowie. Ks. Marek wystąpił z oracyą, (przyczem często chustką czerwoną ocierał pot, po ogromnem, rumianem obliczu spływający), nie bardzo podniosłej treści, ale solenizant i goście do łez byli rozczuleni, zapewne w skutek dosyć obfitej libacyi przy śniadaniu, a gdy ją zakończył wyrazem: amen, ktoś szepnął za mną wiersz Krasickiego:

Amen — rzekłeś przy końcu, o gdybyś był wiedział,
Amen rzekłszy z początku, ślicznie byś powiedział.

Siliłem się, aby nie parsknąć śmiechem, nic to nie pomogło, wybuchłem serdecznym śmiechem, gdym się przekonał, że tę sentencyę wypowiedział Onufry Zbrożek, rozumny i dowcipny człowiek. Był to naonczas starzec siedmdziesięcioletni, szczerze przyjazny Możarowskiemu i jego rodzinie, ale mimo tego mówił mu zawsze bezwzględną prawdę, i uśmierzał nieco jego wybryki. Znał Antoniego doskonale, więc gdy zabierał się do wypowiedzenia lub zrobienia jakiego głupstwa, reflektował go, twardo wymawiając r: „Ależ Antosiu, radzę, daj pokój, znów głupstwo zrobisz!“ — „Onuferciu, ten tego panie dzieju, pozwól“ i urywał skonfundowany. Jakież to wyborne typy dla Fredrowskiej komedyi! Po sumie nastąpiło sute śniadanie, gęsto wnoszono toasty na cześć solenizanta i znaczniejszych gości. Wymykałem się od nich ile możności, bo gospodarz argusowem okiem strzegł, aby każdy z gości do kropli wysączył kieliszek. Nie udawały mi się wszelkie znane sztuczki wylewania wina pod stół, podlewania wazonków i t. p., pierwszy z całego zastępu Bachusa ległem zwyciężony. Po kilkugodzinnym śnie kamiennym wszedłem zupełnie już przytomny do bawialni. Było tam prawie pusto, kobiety udały się na drugą stronę do izb niewieścich, mężczyzni rozprószyli się lub układli się, gdzie kto mógł, do snu. Zostali tylko trzej najwaleczniejsi zapaśnicy: ks. Marek, solenizant i ktoś jeszcze, i pili sobie „od wasana do wasana“. Najczerwieńszym, najweselszym i najgłośniejszym był ks. gwardyan, śpiewał pieśni, ale wcale nie kościelne, co widząc pochwyciłem skrzypce i od ucha urżnąłem skocznego „tropaka“. Dźwięki te nieco fałszywe, obudziły szaloną ochotę do tańca w owych trzech komitetowych. Żwawo wycinali hopaki, ks. Marek z podkasaną kutą, a jako wielbiciel płci pięknej domagał się przybycia jej, nawet ruszył po nią, ale nogi odmówiły posłuszeństwa i runął na ziemię ów rycerz Bachusa. Ułożyliśmy go na łóżku i wnet sen twardy zamknął powieki jego ogromnych wołowych oczów. Mrok był już zupełny, ale wnet zajaśniały światła; sądziłem, że to iluminacya na cześć solenizanta, lecz nie, on oświecił studnię, aby libanci mogli starym obyczajem kilkoma wiadrami zimnej wody otrzeźwić się i nabrać sił do nowego ucztowania, jakoż istotnie poddawaliśmy się niemal wszyscy tej orzeźwiającej kąpieli.

Trzy doby trwały owe libacye. Udawszy chorobę, co było nietrudno, bo już po pierwszem przepiciu wyglądałem jak śledź marynowany, uniknąłem może istotnej choroby. Przy pożegnaniu pito „strzemiennego“ i huku i wrzawy były wiele. Najbardziej ubawił mnie ks. Marek swą rubasznością w postaci i słowach — istny to był typ bernardyna z czasów rozuzdanej swawoli za Sasów. Towarzysz jego, braciszek, niemniej był postacią typową; frant nad franty, dowcipny przytem. Niby to estymował swego przełożonego, w obecności kobiet spuszczał oczy, ręce składając „w małdrzyk“, ale po cichu nie bardzo skromne robił uwagi Pił jak smok, lecz zawsze milczkiem, z zachowaniem „decorum“. Uderzony tem frantowstwem, zacytowałem mu ustęp z Monachomachii biskupa Warmijskiego:

Gdy ksiądz Rafał przy pulpicie
Czytał Skargi świętych życie,
Ksiądz Kapistran tymczasem,
Pomrukując sobie basem,
Chwaląc wstrzemięźliwość świętą,
Dusił flaszkę nadpoczętą.

Braciszek Michał odpowiedział mi na to jakąś sentencyą łacińską.

Milsza była gościna w Hoholowie, gdy się nie trafiło na jaką fetę. Konserwowano tam starannie dawne polskie obyczaje. Jakkolwiek dochodziły one tam do szalonego wyuzdania, miło je widzieć każdemu, kto kraj miłuje.

Bywając w Hoholowie miałem sposobność polowania z Możarowskim. Nie lubiał on polować w towarzystwie, mnie wszakże chętnie brał z sobą. Serdeczny przyjaciel jego, Onufry Zbrożek, dla podeszłego wieku wymawiał się, więc polował jak mówił, w singeltona, lub z kowalem Jackiem Seduszným. Buszowali najczęściej bez psa, po swoich, a najczęściej po cudzych lasach. Różnie to tam bywało na owych kłusowniczych polowaniach, nie brakło podobno i guzów, lecz o tem ani Możarowski, ani kowal nigdy nie wspomnieli. W miesiącu Wrześniu 1865 odwidziłem Możarowskiego, powitał mnie jak zbawcę. „Wyobraź sobie, ten tego, panie dzieju, przez cały miesiąc nie było nikogo, nawet ks. Marek wymawia się chorobą. Ja chory, mam astmę, od dwóch miesięcy nie piję i tytoniu nie palę, tylko ot — może zażyjesz tabaczki. Ks. Marek mnie omija, jeden Onufry, daj mu Boże zdrowie, łaskaw, ale cóż, gdy go ciągnę na polowanie, odpowiada: ne zdużaju. Kowala klacz przy kuciu uderzyła, po prostu ten tego panie dzieju, jestem sierotą; dobrześ zrobił, żeś przyjechał, pójdziemy jutro na dzika". Temi słowy powitał mnie siedzącego na wózku i byłby mnie jeszcze długo na nim trzymał, gdyby kobiety, które raczyły wyjść na moje powitanie, nie zreflektowały go, że wykracza przeciw prawom gościnności, nie prosząc gościa w progi domowe. Wynikało to wszakże z jego roztargnienia, któremu zawsze ulegał, ale nie na polowaniu. W lesie, na błotach, ze strzelbą w ręku, stawał się innym człowiekiem i nigdy w życiu swojem podczas wypraw łowieckich nie miał wypadku.

Nadeszła pora wyruszenia na owego dzika. Wieczór był parny, księżyc zamglony. Na wychodnem mówię ja: „Ej! będzie burza albo słota". — „Owa! jaki mi delikacik, burzy i deszczu się boi, ja mam astmę, a idę". — „A dokąd pójdziemy?" — „Do lasu; przed tygodniem zgorzała tam chałupa gajowego do szczętu, pozostał ogród zasadzony kartoflami, nikt go nie pilnuje, więc dziki w nim gospodarują swobodnie, zasiądziemy na nie". Możarowski był już wtedy niemłodym, schorowanym i steranym, mimo tego chodził tak, że nawet mnie imponował, piechurowi wojsk austryackich, który pieszo przeszedł pół Węgier, całą siedmiogrodzką ziemię i nie małą przestrzeń Włoch. Idąc sapał jak lokomotywa, ale szedł. Szliśmy do owej spalonej gajówki lasem, ścieżynkami, któremi chyba wilki i kłusownicy chodzą. Pytam Możarowskiego: „A czyj to las?" „Mój, bo po nim stąpam". Stanęliśmy wreszcie u pogorzeliska, otoczonego z trzech stron lasem, z jednej zaś był niewielki szmat pól, a za niemi ciągnął się bór sosnowy. Zajęliśmy stanowiska; Możarowski skonfiskował mi tytoń, abym nim nie odstraszył dzików. „A jakże będzie z twoim kaszlem?" — pytam. Na to zapytanie wydobył z torby pudełko z pigułkami, które sam wyrabiał z czystej sosnowej żywicy, i które służyły mu w potrzebie wybornie. Parno było niezmiernie; księżyc, jakkolwiek w „lisiej czapce", dość jasne rzucał światło. Las przy samej gajówce był sosnowy, nieco dalej mięszany, dębowy i olszowy, podszyty wikliną w dołach, na moczarowatym stojąc gruncie. W lesie było tam mnóstwo słowików, współzawodniczących z drozdami, pragnącymi naśladowaniem spiewu słowiczego przygłuszyć króla leśnych spiewaków. O tej porze spiewy te nie przerywały grobowej ciszy, tylko niekiedy z głębi boru dochodził ponury głos puhacza, a na gruzach pogorzeliska siadła sowa „pójdźka", jęczac lub chichocząc po swojemu. Naraz po drugiej stronie ogrodu usłyszałem szmer, wreszcie spostrzegłem jakieś stworzenie, ruszające się w grządkach kapuścianych. Widzę wyraźnie jak ziemię ryje, więc składam się z dubeltówki nabitej kulami i palę z lewki, wypróbowanej z dobroci — padło — pędzę co tchu, wołając: „Jest, jest!" — „Jest — cielę" — odpowiedziało echo w postaci Możarowskiego, który począł kpić ze mnie niemiłosiernie. Nigdy w życiu nie strzeliłem kulą tak celnie, na kroków blisko sto, przy niepewnem świetle księżycowem trafiłem w samą komorę. Żal mi było chłopa, któremu taką szkodę wyrządziłem i chciałem koniecznie za nią zapłacić, ale Możarowski na to nie pozwolił, aby się nie wydało, żeśmy w cudzym polowali lesie, postanowiliśmy więc zawlec cielę w las Możarowskiego i tam je porzucić. Zajęci tą pracą nie spostrzegliśmy, że zrywała się burza, zahuczały grzmoty, błyskawice przeszywały niebo, czarne chmury zasłoniły księżyc, wicher zerwał się straszliwy, deszcz lunął jak z konwi. Skryliśmy się pod pień grubej sosny, ale wnet przemokliśmy do nitki. Tak straszliwej burzy w życiu mojem nie pamiętam. Tu wybaczy mi łaskawy czytelnik mały odstęp. W roku 1856 jako rekruta pędzono mię ze Lwowa do Klausenburga; w okolicy Munkacza w pewnej dużej wsi węgierskiej stanęliśmy na nocleg. Był to miesiąc Wrzesień, zwykle w Węgrzech czysty i pogodny. Około północy zbudziły nas grzmoty, wicher wył przeraźliwy, chaty jakkolwiek silnie zbudowane, chwiały się i trzeszczały, nieustanne błyskawice rozjaśniały widok. Wyjrzałem oknem, wicher rwał ze strzechy mierżwiastą słomę, którą tu dachy pokrywają. Mimo tak szalonej burzy ani kropla deszczu nie padła. Podobnemi bezdeszczowemi burzami tylko kraje podzwrotnikowe nawiedzane bywają. Taka to straszna burza, ale mokra, zaskoczyła nas w lesie Korczyńskim hr. Cetnera. Co chwila słyszeliśmy trzask wyrwanego z korzeniem lub złamanego drzewa. Dygocąc od zimna mówi Możarowski: „Musiał się ktoś obwiesić lub umarł, byle nie rabin bełzki, bo to dobry człowiek". Mniemanie ludu nazywa takie burzliwe noce nocami samobójców lub rabinowemi. Gdy gwałtowność wichru nieco się uśmierzyła, grzmoty i huki gromów się oddalały, ale deszcz jeszcze lał strumieniami, ujrzeliśmy dziwne zjawisko. Cielę martwe i powierzchnia naszych sukień przemokłych pokryły się jakimiś punkcikami świecącymi. Podobny wypadek zdarzył mi się już poprzednio raz w życiu. Pewnej jesieni wracałem nocą podczas obfitego deszczu do Kamienopola. Ciemno było, droga pełna wybojów, więc wziąłem sam lejce do ręki i jechałem wolno. Naraz na biczu, na grzbiecie koni i siermiędze chłopaka przy mnie siedzacego zaświeciły takie fosforyczne ogniki i trwało to zjawisko z ćwierć godziny. Radziliśmy co czynić, ogniska, przy którem możnaby przenocować, niepodobna było rozpalić, ale deszcz „jakoś się przejął", więc zabieramy naszą zdobycz i ruszamy. Do granicy lasu Możarowskiego nie było daleko, tam też porzuciliśmy nasz ciężar. „Byle się dostać do pierwszej Hoholowskiej chaty — mówi Antoni — to tam przenocujemy, bo ja dalej nie dojdę. To mrozem mnie ziębi, to znów ukrop w żyłach moich krąży". Kaszel go chwycił gwałtowny, który mnie przeraził. Wreszcie dobijamy się do jakiejś chaty, przełazimy przez płot ogrodowy, Możarowski wali do drzwi ciemnej chaty chłopskiej, a ja stoję dzwoniąc zębami i po chwili czuję ugryzienie w łydkę; był to kundel zagrodowy, który tem zamanifestował obecność swoją, nie wydawszy głosu. Użarł mnie potężnie, do dziś noszę ślady jego zębów. Weszliśmy do chaty; gospodarz znając swego pana, wiedział zkąd wracamy. Naścielono siana w środku izby, powaliliśmy się jak kłody na nie, ale ani ja, ani Możarowski, trapiony gorączką,

nie spaliśmy. Świtem gospodarz dał znać do dworu, zkąd przybyła po nas bryczka. Możarowski mimo silnego przeziębienia tylko kilka dni nie domagał.

Jakoś nie miałem szczęścia do łowów w towarzystwie Możarowskiego. W kilka tygodni po owem wydarzeniu wybrałem się do Hoholowa na słonki podczas jesiennego ciągu. Poszliśmy w las ja, Antoni i kowal Seduszczyj w miejsce osławione z wybornego ciągu słonek. Zajęliśmy stanowiska. Z razu jakoś mi się udawało, ale potem raz po raz pudła bez końca. Że deszcz zaczął padać gęsty, więc umykamy do domu, wreszcie lunęło strumieniem, zatrzymaliśmy się na cmentarzu i schronili w chatce, służącej za trupiarnię. Cmentarz był dosyć od wsi oddalony, kowal sute rozniecił ognisko, przy którem grzaliśmy się i suszyli. „U nas — opowiadał Seduszczyj — za kordonom na nekotrym hrobi dosej stawlajut lude ot takij chatynki. W pomenki abo parastas, jesły sprawlajut komaszniu, to idzenie, chlib, kasza, łebo pyrohy pid takoju chatynkoju To zaberaje hrobar łebo did żebruszczyj“. Zwyczaj ten podobno na Polesiu już niknie powoli. Jest zwyczaj, szczególnie na grobach rodziców, stawiania takich drewnianych budynków. Starym pogańskim obyczajem stawiano w nich potrawy z uczty pogrzebowej „komaszni“, z pominków lub też w dniu zadusznym. W podobnych domkach kapłani pogańscy, a później dziady kościelne, znachorzy i kuglarze w kapliczkach cmentarnych odprawiali dziwne obrzędy, zaklinając lub wzywając cienie umarłych, zapraszając je do spożycia zastawionych potraw i napojów. Podanie to podniósł do wysokiego znaczenia Adam Mickiewicz w poemacie swoim „Dziady“. Pan G. pochodzący z Polesia, opowiadał mi pocieszne zdarzenie, jakie miał jeden z jego krewnych w takim domku, raczej budce nagrobowej. Oto jego słowa: „Stryj mój, kawaler około 60letni, mieszkał w pobliskiej wsi, około pół mili oddalonej od mieszkania moich rodziców. Droga od wioski Stryja do nas wiodła niemal tylko przez las. Poleskim zwyczajem stał cmentarz wiejski na polance wśród lasu przy drodze. Pewnego wieczora jechał stryj konno do nas. W połowie tej niedalekiej drogi zaskoczyła go ulewa z grzmotami. Uwiązawszy konia u bramy cmentarnej stryj ukrył się w jednej z budek nagrobowych. Stryj mimo odwagi na polu walki nieraz okazanej, lękał się duchów i piorunów, po każdym grzmocie zwykle żegnał się wymawiając: „a słowo stało się ciałem“. Burza poczęła się uśmierzać, więc uspokojony zapragnął szczyptą tabaki pokrzepić rozstrojone strachem nerwy, co też uczynił i gdy miał włożyć tabakierkę do kieszeni, wysuwa się z ciemnego kąta budki jakaś koścista ręka i odzywa się głos: „Dajcie mnie jegomość“. Jak oparzony wyskoczył stryj z domku i zapomniawszy o koniu, pieszo dobiegł do naszego dworu, bez zmysłów u progu jego padając. Przez całą noc leżał bez przytomności, więc nie można było dowiedzieć się od niego o przyczynie tego wypadku. Zjawił się żebrak znany w całej okolicy, wiodąc wierzchowca stryja i wyjaśnił rzecz. Skrył się on także do owej budki i zasnął, a obudził się w chwili zażywania tabaki i prosił o nią. Mimo wyjaśnienia stryj ciężko odchorował ów wypadek“.

Możarowski pocieszył się w domu, zastawszy w nim bernardyna. Jeśli dobrze pamiętam, zwał się Celestynem i był kanafarzem, kwestarzem i ekonomem klasztornego folwarku, zresztą frantem istotnie dowcipnym, myśliwym i bibułą zawołanym. Średniego wzrostu, chudy a jednak z dosyć wystającym brzuchem, z rubinowymi policzkami, był on widocznie czcicielem Bachusa, Gambrynusa i Dyany, którym wiernie służył. Do Hoholowa przyjechał po kwestę w postaci wiktualiów, jako też obrusów, alb, antipediów, ornatów i tym podobnych kościelnych akcessoryów, których po ostatnim pożarze był brak wielki w klasztorze. Wiedząc, że miał zawsze spory zapas pieprznych dykteryjek, które nawet w obecności płci pięknej wygłaszał, zdziwiłem się, gdy przy wieczerzy niemym był, zamyślonym i smutnym, ale w figlarnych oczach jego czytałem, że przy lada zaczepce „djablik mazurski“ wywróci krotochwilnego koziołka. „Coś dziś nieswój ks. Celestyn“ (był właściwie braciszkiem) zauważyła pani domu. „Jak mi się weselić — odparł — gdy niewiasty i dziewice nasze obojętnie patrzą na Sokalską Matkę bosą, Boską (poprawił). Wizerunek jej, cudami słynący, z narażeniem życia z płomieni wyratowany, wisi na ołtarzu bez firanek, bez lampy gorejącej na jej cześć. Oj tak! gorzały — dodał spoglądając na gospodarza — gorzały dawniej serca niewiast polskich wielką miłością dla Sokalskiej N. Panny“. Znać tu było w bracie Celestynie dobrego myśliwego, który jednym strzałem dwie sztuki zwierzyny ubija, bo i gospodarzowi o poczęstunek się przymówił i paniom o dar miłościwy. Porwał się też co tchu Możarowski i przyniósł flachę wódki, zwaną przez niego „harmiderówką“. Bernardynowi na widok potężnego kielicha, jak lisowi na widok przynęty zaiskrzyły się małe oczka. Wlał w gardło cały haust i rzekł:

Hungaricum vinum non crescit ita,
Vivat polonica aqua-vita!

Nie tęga łacina ale dzielny libator, bo odtąd potrawy, wino, piwo, przekładał gorzałką, jak mówił „dla konkokcyi“. Panie widząc, że humor zwłaszcza bernardyński nabiera rażącego blasku i dykteryjki nie bardzo budujące sypią się gęsto, umknęły nieznacznie.

Następnego dnia wraz ze świtem ruszyliśmy na polowanie w las Hoholowski. Było nas tylko czterech, Możarowski, ja, kowal i ks. Celestyn. Bernardyn na łowach, zaiste niezwykłe zjawisko. Pocieszny to był widok mnicha odzianego w długi, wypłowiały habit, z pokrytą kapuzą głową, uzbrojonego w dubeltówkę, z torbą i trąbką, przewieszonemi przez plecy, kroczącego śród myśliwych, dowcipkującego tłusto. Kowal wiódł sworę gończaków, mając ją podprawić w miejscu wiadomem, dokąd się też udał. Trudno było we trzech obstawić duży miot. Możarowski zadął w trąbkę, Seduszczyj dał odzew, psy wnet trop chwyciły, zbyt rzadko rozstawieni musieliśmy podbiegać. Trzeba było widzieć bernardyna, jak podkasawszy habit, z opadłą kapuzą, świecąc łbem łysym i wygolonym, jak jeleń pomykał przez gąszcze. Padł strzał jeden i drugi, stadko sarn przemykało zrębem w pobliżu mojem, złożyłem się i wnet spory kozioł runął na ziemię. Z trzech różnych stron trąbki oznajmiły trafność strzałów. Psy poszły za resztą sarn w inne mioty. Ja i Możarowski ubiliśmy po koźle, bernardyn sprzątnął kozę. Kto tam wtedy dbał o to, czy padnie kozioł czy koza! Pełnym kielichem uczciliśmy tak szczęśliwy rezultat polowania, ale dostały, się mnichowi przymówki, że tak zawzięcie na płeć niewieścią godzi, odcinał się klecha siarczyście, więc śmiechu było niemało. Kowal nie rychło się przy nas pojawił, a gdy musieliśmy czekać na psy, ktore gdzieś daleko się zapędziły, więc Seduszczyj po swojemu „nypał“ za zwierzyną po lesie, jakoż wnet odezwały się strzały. Nadszedł wreszcie obciążony dwoma zającami, chwaląc się, że ubił je na pomkniętego. Po rozpatrzeniu się widocznem było, że jednego z nich stłumił w kotlinie, jak lubił „seduszczoho po hołowci,“ albowiem zając miał głowę roztrzaskaną. Mówię tedy: „Ej Jacku, taki toj zając seduszczyj distaw po hołowci“. — „A szczoby mnoju frybra tełepała, szczobym ne diżdaw

nynisznyho weczera!...“ — „Ne kłonysia, ne boży sia, bo po tim baczu, szczo breszesz — rzekł Możarowski — no truby na sobaki“. — „Aha zautra! Gama (suka) ne pokiene szczob pohybła, a serny ne powernuś, i staryj Spiwak ne wid toho, szczob popristy, osłyb uchoplaw sernu, jak sia rozipre“. Na takie *dictum* nie było co dalej w lesie robić. Nazajutrz po dobrem śniadaniu i jeszcze lepszym napitku, ks. kwestarz zapewniony przez panie, że dwa obrusy, jedną albę i antipedium przed Bożem Narodzeniem do klasztoru przyślą, ruszył w świat po dalszą kwestę. Trudno mi lichemu gawędziarzowi stawać w szranki z znakomitym opisem kwestarza Ig. Chodźki, więc tylko kilka słów dodam. Lichy wózek kwestarski ciągniony był istotnie przez „półtora konia“. Z prawej strony dyszla szła klacz siwa, mocno hreczkowata, jasnokoścista, conajmniej 16 miary, kłapoucha, a zwała się Czapla, z lewej zaś biegł mały konik, zwykłej chłopskiej rasy, dobrze wypasiony, którego ks. Celestyn nazwał jako myśliwy Dyndą, bo istotnie przy ogromnej klaczy biegł szybkim truchcikiem, czyli jak lis dyndał.

Zaproszony przez gwardyana ks. Marka pojechałem do klasztoru sokalskiego wraz z Możarowskim, który odwoził kozła i sarnę. Pozostawiwszy konie w zajeździe na Babińcu, udaliśmy się do klasztoru pieszo. Przekroczywszy most przy samym klasztorze słyszymy strzał, a po nim ogromną wrzawę gawronów, które wielką chmarą zerwały się ze szczytów drzew klasztornego ogrodu. Wstępujemy wreszcie w obręb klasztorny. Na jednym z pomniejszych dziedzińców, obsadzonym drzewami i krzewami, był rodzaj zwierzyńca. Znajdowało się tam kilkanaście zajęcy, mnóstwo królików i para sarn. Okazało się potem, że strzałem owym przez nas słyszanym braciszek ubił chowaną wilczycę, która poczęła być złośliwą i skaleczyła mocno stróża. Dwa wilki również chowane zginęły przedtem naturalną śmiercią. Gwardyan przyjął nas uprzejmie, była już pora popołudniowa, więc naprędce zastawiono stół zimnemi potrawami, które należało rozgrzać gęstym napitkiem. Widząc, że się zanosi na pijatykę, wyniosłem się pod pozorem oglądania klasztoru, w towarzystwie jednego z braciszków. Wracając kurytarzem zetknąłem się z trzema wcale nieszpetnemi mieszczaneczkami, mówię tedy: „A co to za podwiki kręcą się po waszych kurytarzach?“ — „A to siostry bractwa różańcowego“ — odpowiada nieco zakłopotany braciszek. Dochodząc do celi gwardyana usłyszałem huki i spiewy, grzmiąco wygłaszano: „Runęło, zagrzmiało w Betleem ziemi“, a gdym wszedł do celi, właśnie gwardyan i Możarowski, dobrze już ścięci, siedząc naprzeciw siebie, głowami w takt kiwając ryczeli: „Wół, osioł, wół, osioł!“ „Brawo!“ wykrzyknąłem, istotnie trudno o dosadniejsze zcharakteryzowanie tych dwóch postaci. Późną nocą z drzemiącym Możarowskim wróciliśmy do Hoholowa.

W kilka dni ruszyłem do domu, Możarowski mając jakiś interes do załatwienia we Lwowie, wybrał się ze mną, jak zawsze, z nieodstępną swoją dubeltówką. Możarowski naparł się jechać na Wołstwin, Zawoń i inne zakąty, czemu rad byłem, bo nie lubię jeździć i chodzić utartemi drogami, gdzie nie wiele można doświadczyć i nauczyć się. Zjeżdżamy z bitej drogi w ciemny, gęsty, sosnowy bór i ruszamy leśnemi drożynami. Kto nie używał przyjemności jazdy po owych psich drogach, nie wyobrazi sobie, jak one mogą dokuczyć, wyboje, kałuże, korzenie na chwilę nie dają spokoju. Taką to krótszą drogą wiódł mnie Możarowski. Śród labiryntu drożynek i ścieżek, krzyżujących się z sobą, nie trudno było zbłądzić, ale Możarowski z powodu swych wycieczek kłusowniczych znał całą okolicę wybornie wszerz i wzdłuż na mil kilkanaście. Jechaliśmy środkiem lasu, który nie wiem do kogo należał. Naraz woła Możarowski, ze mną jadący, do swego furmana, przodem jadącego i wskazującego drogę: „Semku stój,“ a do mnie rzecze: „Ja tu wysiądę, w pobliżu są sarny, jedźcie tymczasem powoli i zaczekajcie na mnie, znajesz Semku pry patryi (tak lud nazywa znaki geometryczne), zboczę nieco w las i stuknę kozła, a ty tymczasem możesz dla zabicia czasu strzelać do celu z rewolweru, a nawet proszę cię o to“. Później dopiero domyśliłem się dla czego Możarowski kazał mi strzelać, pragnął on tym sposobem odwrócić uwagę straży leśnej od siebie. Poszedł, a my jedziemy pomału, po chwili odezwał się strzał, ja zaś wcale nie strzelałem do celu. Po niedługiem wyczekiwaniu przy owej patryi zjawia się Możarowski zdyszany, spotniały, dźwigając ogromnego kozła. Zaledwie rzucił go do swej bryczki, nadbiega pędem trzech ludzi, po stroju poznałem leśniczego i dwóch gajowych. Możarowski krzyknął: „ruszaj!“ i co koń wyskoczy pomknęliśmy w stronę Kamionki. Od prześladowców naszych padł strzał, ale daleki, więc nie trafny, usłyszałem tylko pęd śrótu jakby brzęczenie pszczół ponad naszemi głowami. Uszliśmy wstydu i hańby.

Kończąc ten mój może nie bardzo powabny, ale prawdziwy obrazek, zapewniam, iż wcale nie pragnąłem ubliżyć pamięci w Bogu już spoczywającego Możarowskiego, chciałem tylko w nim postawić typ, jakiego już podobno dziś dzięki Bogu nie mamy.

KORESPONDENCYE.

Przysłowie: *retores fiunt, poëtae nascuntur*, zastosowuje Dumas w ten sposób: *on devient cuisinier, on nait rotisseur, mais la comparaison est trop humiliante pour les rotisseurs.* Otóż tak jak rodzi się poeta i rotiser (pieczeniarz-smakosz) tak też rodzi się myśliwy. Dzieckiem jeszcze będąc zachwycałem się widokiem jakiejkolwiek broni palnej, później chłopięciem biegałem za myśliwymi na polowanie, a gdy będąc w szkołach w Rzeszowie spostrzegłem w czasie jarmarku na św. Wojciecha u przejezdnego kramarza na wystawie błyszczące krucice, pomyślałem sobie: cóż to za szczęśliwiec, który może sobie kupić takich parę krucic! Wobec strzelby miałem wielki respekt, gdyż słyszałem, że przy wystrzale mocno trąca. W jakiś czas później zdarzyło mi się nabyć od kolegi wszystkie części składowe krucicy, lecz bez łoża; przywiózłszy mój skarb na święta do domu, dowiedziałem się, że w Weryni o $^1/_4$ mili odległej, jest ślusarz, który umie osadzać strzelby i pistolety, pojechałem więc do niego i zastałem go kującego buty! Zdziwiony, że taki artysta zajmuje się kuciem butów, zapytałem go o to, odrzekł, że gdy nie ma lepszej roboty, to kuje buty wieśniakom, którzy chcą mieć porządniejsze okucie, bo niewybredni dają kupione buty zaraz na jarmarku, obok szewców oczekującemu z gotowemi podkówkami kowalowi *à la minute* podkuwać. Następnie oświadczył mi pan majster, że przywiezioną krucicę tak pięknie mi osadzi, jak nikt inny, ale muszę zapła-

cić dwa reńskie walutą. Ha! coż robić, obiecałem zapłacić tę sumę. Co podówczas znaczyły dwa reńskie walutą, można wnosić z porównania: kucharka w Rzeszowie pobierała miesięcznie dwa reńskie walutą i oprócz wiktu nic więcej; beczka piwa (32 garnce) kosztowała 3 reńskie walutą (12 szóstaków teraźniejszych); dobrą krowę można było kupić za 20 do 30 reńskich walutą, a małego prosiaka już odessanego za 15 krajcarów walutą (teraźniejszych 10 centów). Kolonista Niemiec przywoził za jeden reński walutą furę drzewa opałowego lub furę materyału budowlanego, sąg więc kosztował na teraźniejsze pieniądze 1 złr. 68 cent. z przystawą do domu.

W kilka dni odebrałem ślicznie osadzoną krucicę i strzelałem zaraz po resurekcyi, a potem i w Rzeszowie nad Wisłokiem, skoro mogłem kupić dwa łuty prochu u Schaitera, który miał wówczas sklep w rynku. Raz w jesieni wyszedłszy z krucicą nad Wisłok od Staromieścia, gdzie mały potok wpada do Wisłoka, spostrzegłem stadko czajek, które zapadły po drugiej stronie potoka, gdzie brzeg wysoki, podchodzę więc pod brzeg, podsuwam się w górę, pół głowy wychylam z pomiędzy trawek po nad brzeg i widzę czajki dosyć gęsto siedzące najdalej na 15 kroków. W lufie miałem lotkę, więc wysuwam rękę, celuję i ściągam — pstryk! spaliło na panewce, a czajki przestraszone uleciały. W jakiś czas mówi mi jeden koleżka, że dostał strzelbę, ma proch i śrót, więc w czwartek (podówczas gimnazyaliści mieli cały czwartek wolny) pójdziemy na ryby i ze strzelbą. Była to niewielka, dosyć zgrabna pojedynka, rozbieramy lufę osobno, a łoże osobno, tak ukrywszy broń w pantalonach, dążymy ku mało naówczas uczęszczanemu miejscu, gdzie potok wpada do Wisłoka, rzucamy trutkę w głębsze miejsca potoka, a sami idziemy nad Wisłok, gdzie na zwirze spostrzegam biegającego kulika. Kolega niedowierzając sobie w sztuce strzelania, daje mi strzelbę, ja podchodzę i z odległości 25 kroków palę do kulika bieżącego, ubijam — i oto urodził się myśliwy i celny strzelec, za jakiego mnie i dziś po latach przeszło pięćdziesięciu mają.

Przed wakacyami zacząłem brać lekcye na skrzypcach, które mi ojciec darował, po dziesięciu lekcyach rzępoliłem radawaszkę i kilka innych kawałków. Gdy po skończonym roku szkolnym przysłano konie po mnie, nadchodzi kolega i pyta, czy nie chciałbym dać moje skrzypce w zamian za strzelbę? Jako Nemrod *in spe* stawiałem strzelbę wyżej niż skrzypce, choćby Paganiniego, z ochotą więc oddałem skrzypce, a wziąłem strzelbę, zwykłą pojedynkę skałkówkę, z mosiężnem okuciem. Stępla brakowało, lecz mniejsza o to, w domu dorobią. Przyjechawszy do domu dorabiam stępel, pasuję do bączka, a gdy już był gotowy, wkładam do rurki, niewchodzi dalej jak na 8 cali, coś jest w rurce, czego nie widać i czego wytrząść nie można. Domyśliłem się, że były właściciel wycierając rurkę stęplem w kłaki owiniętym, złamał stępel przy samym wylocie, a nie mogąc go wyciągnąć, popchnął do środka, aby go dojrzeć nie można było. Co tu robić? Ażeby odkręcić tylną śrubę, trzebaby jechać do miasteczka lub do Weryni, a mnie pilno, więc jak to mówią: Polak nigdy nie wątpi o sobie, gdyby miał tylko batóg w ręku, zdatny do wojska choćby na generała, a jeżeli urodził się tak jak ja na piaskach polskich, zdatny do marynarki, choćby na admirała. Odejmuję więc rurkę, wkładam w kuchni w ogień grubszy koniec, wylot skierowałem dla bezpieczeństwa w kąt, a gdy z wylotu zaczęło się kurzyć dobrze, wyjmuję ostrożnie, wytrząsam tlejący stępel, a po ostygnieniu wyczyszczam. Strzelba gotowa, skałka ostra i dobrze przyśrubowana, sypie ogień doskonale. W tem przybiega chłopiec od chałupnika i mówi: proszę panicza, widziałem jak dwa zające poszły w ziemniaki. Ucieszony, proszę ojca o śrót zajęczy, wówczas bowiem myślałem, że do zająca nie można strzelać innym śrótem, tylko zajęczym, do kaczki kaczym i t. d. Nabijam więc śrótem zajęczym, chłopiec mnie prowadzi i pokazuje: „ot w tych kartoflach“, a było tych kartofli z pół morga, nać zielona i wysoka, każę mu więc czekać przy dolnym końcu, mówiąc: „Jak dojdę w drugi koniec, zaczniesz pędzić“. Zaledwie chłopiec zrobił kilka kroków, wypada ogromny zając w bok na ścierń; składam się, palę, a zając wywraca kozła i leży nieżywy. Był to mój pierwszy strzał do prawdziwej zwierzyny, gdyż przedtem oprócz kulika i kilku wróbli nic więcej nie ubiłem, a był to istotnie strzał piękny, odległość bowiem wynosiła 60, a może i więcej kroków. Wątpię, czy tryumfator rzymski z większem zadowoleniem wjeżdżał do stolicy, niż ja wkraczałem w domowe progi z ubitym zającem. Duma jednak nie długo trwała; w kilka dni wyszedłem w odległe pole, które z powodu swej jałowości rzadko kiedy obsiewano; rosły tam skąpo wrzosy, nad którymi szybowały czajki, a czajkę zwą mazury „kuliga“, strzelam więc do tych czajek, lecz jakoś nie padały po strzałach, zaledwie za 9tym czy 10tym strzałem padła jedna. Markotno mi było, że tyle razy chybiłem, a i amunicya się wyczerpała, więc strzelba poszła na kołek. Ostatniego dnia spostrzegłem na rzeczce, płynącej granicą naszej łąki, śliczną cyrankę z zielonemi piórkami, a tu prochu ani ziarneczka; dowiaduję się jednak od fornala, że jeden urlopnik ma ślepy patron od karabina, posyłam do niego, żąda pięć krajcarów walutą! Cóż robić, musiałem zapłacić 5 kr. za nabój prochu; biegnę na łąkę i zastaję biedną cyraneczkę, oczekującą śmierci. Rozległ się strzał i był trafny.

Od tej chwili długi czas upłynął. Na wiosnę zaczęło z klas ubywać młodzieży, a w Czerwcu z powodu cholery kazano się rozjechać do domu. Minął rok pamiętny zapału, poświęcenia, nadziei, zakończony śmiercią lub tułactwem dla jednych, smutkiem i zwątpieniem dla pozostałych. W r. 1833 przebywałem nad Wisła, gdzie byłem świadkiem kilku osobliwych zdarzeń u zwierząt łownych. W same żniwa przybiega do dworu chłopiec od ślusarza z miasteczka i opowiada, że widział jelenia na polu bieżącego do łóz czyli wikliny nad Wisłą położonej. Zrazu niechciano wierzyć temu, lecz gdy chłopak począł opisywać zwierza, wielkość jego, maść i rogi, upadła wątpliwość, kazano siodłać konie dojeżdżaczom z chartami, nabito kulami i lotkami strzelby, zesworowano gończe psy i hajże na jelenia. Przyjeżdżamy do wikliny, rozstawiamy się, puszczają psy, po chwili zaczęły gonić, zapewne lisa okładającego gąszczem, a gdy to gonienie trwało już z pół godziny, zamiast jelenia nadchodzi posłaniec z sąsiedniej wsi Maniowy z doniesieniem, że jeleń żywcem złapany. Stało się to tak: jeleń nie zatrzymywał się wcale w wiklinie, gdzieśmy na niego polowali, lecz przeszedłszy takową, pomykał polem dalej. Owczesny dzierżawca Maniowa pan Winnicki wyszedłszy do żeńców, spostrzegł jelenia z daleka, krzyknął na żeńców, żeby mu zastąpili drogę, jeleń zmęczony biegiem w upał zbacza w łan kartofli, tam z umęczenia i ze strachu splątał się w gęstych i wysokich łodygach kartofli, upadł, a odważniejsi wieśniacy przyskoczyli, przytrzymali i związali mu nogi czyli badyle. Pan W. trzymał tego jelenia z 5 miesięcy, a 17. Stycznia 1833 przysłał go na saniach na wiązanie ówczesnemu dziedzicowi dóbr Szczucina, gdzie mu sporządzono podwórko ze stajenką i gdzie przyjezdni swobodnie przypatrywali się wspaniałemu zwierzowi. We Wrześniu jednak uprzykrzyło się jeleniowi przymusowe mieszkanie, rozpędziwszy

się wybił piersiami kilka sztakiet, były bowiem za wysokie do przeskoczenia, i hajże w pole. Co tchu ruszono konno z chartami za nim, z razu charty obeznane z jeleniem niechciały go ścigać, lecz gdy się wybrał w czyste pole i zaczęto szczuć, puściły się w pogoń, dały mu obrot, a jeleń odwykły od biegu, czując się ściganym, pędzi ku dworowi i wpadł w staw gdzie ugrzązł w błocie. Zarzucono mu sznur na rozsochy i sprowadzono napowrót do przymusowego mieszkania. Co się z nim później stało, niewiem, wyjechałem bowiem z tej okolicy.

W tydzień po wycieczce na jelenia, polowaliśmy w polu na zające, padło kilka, między tymi dwie kotne samice, strzelec patrosząc takowe wypruł z jednej pięć a z drugiej dwoje zajęcząt, które zapewne już za kilka godzin urodzić się miały. Żywe to maleństwo zabrał w czapkę i przyniósł do dworu. Posłano zaraz na wieś za królicami od młodych i przyniesiono dwie, przytrzymywano krulice za skoki, a zajęczęta przysadzono i ssały niebożęta. Trzeciego dnia nie trzeba było już trzymać królic, same dawały ssać zajączkom, które wszystkie się wychowały

Gdy mowa o zającach przytoczę kilka właściwości tego biednego zwierza. Widziałem zająca pełzającego jak kot na brzuchu w celu wykradzenia się. Widziałem innego tarzającego się jak koń. Nieraz zdarzało mi się, że w porę suchą w jesieni, gdy psy gończe nic zwietrzyć niemogą, idąc stanąłem w celu nałożenia fajki, a gdy zapaliwszy ją ruszałem dalej, zając siedzący niemal przy nodze mojej smyknął za mojemi plecami, a zanim schwyciłem strzelbę i kurki odwiodłem, już go straciłem z oczów. Stary jeden myśliwy opowiadał mi, że raz na śniegu, gdy psy straciły trop w lesie tuż podewsią i rozbiegły się, tenże przypuszczając, że zając mógł skoczyć przez płot do ogrodu chłopskiego, zawiesza strzelbę na plecy, chwyta rękami rożny od ostrzeszka, wspina się, by zajrzeć do ogrodu, a wtem spostrzega zająca siedzącego na ostrzeszku tuż pod brodą myśliwego, puszcza więc rożny, zeskakuje z płotu i chwyta za strzelbę, ale zając przewąchał pismo nosem i umknął niedostrzeżony. Raz stojąc nad rowem okalającym las spostrzegam na ogrodzie chłopskim w tytoniowiniu obrzednim jakby listek czarniawy na śniegu. Domyślając się, że tam siedzi zając, a niemogąc przeskoczyć przez rów z powodu, że tuż za rowem był niski płot, ufny w dziwirówkę pojedynkę, nabitą grubym śrótem, mierzę cokolwiek pod czerniejący się punkt i strzelam. Istotnie był tam zając, którego strzał przebudził, lecz że śróty poszły po nad niego, a dolne ugrzęzły niedoszedłszy do zająca, więc zając siedzi sobie w kotlinie a ja nabijam czem prędzej strzelbę. Gdy już kończyłem nabijanie, zając podniósł łeb o tyle, że w miejscu mniemanego listka widzę już oko zajęcze, podnoszę strzelbę, i w chwili gdy się składam, zając wyskakuje, strzał pada a zając farbując uchodzi w ogrody dalsze. Obszedłem rów i udałem się drogą w kierunku, gdzie uszedł, jakoż w drugim ogrodzie siedział już na wierzchu śniegu, gdzie go drugim strzałem dobiłem. W miasteczku I. mieszkał znajomy mi lekarz niemyśliwy, który jednak miał dobrą dubeltówkę, opowiadał on mi: Tej zimy przychodzi do mnie chłopak od szewca i mówi, proszę pana doktora, u nas w ogrodzie siedzi zając, ja mówi doktor, nabijam dubeltówkę, prowadzi mnie chłopiec do ogrodu i pokazuje mówiąc: ot tam pod drzewem siedzi, widzi go pan? Dla pewności z obu rurek naraz palę, zając ani się ruszył, mówię więc do chłopca: idź weź go, chłopiec idzie, lecz gdy się zbliżył do zająca, zając w nogi i znikł. Doktor zgłupiał, nie wiedział bowiem, że zając niedraśnięty strzałem przycupnie, udając kamień lub kretowinę. Pływa też zając doskonale, śród zimy rzuca się bez namysłu w zimną wodę, nawet mały jak królik zajączek idzie odważnie w wodę i płynie. *Stary myśliwy.*

KRONIKA.

W Warszawie zawiązuje się Towarzystwo łowieckie. Ustawa nowego Towarzystwa, jak donosi „Kur. Codz.", już jest napisana i niebawem zostanie przedstawioną do zatwierdzenia. Towarzystwo rzeczone obok ochrony zwierząt stawia sobie za zadanie wydzierżawianie gruntów do polowania i urządzanie łowów różnego rodzaju. Zaprowadzenie jakiegoś ładu i składu w naszem gospodarstwie łowieckiem — powiada ów dziennik — tak jest koniecznem, że Towarzystwo z powyżej wymienionymi celami może oddać istotne usługi krajowemu zwierzostanowi. Dzisiejszy system rabunkowego gospodarstwa na tem polu wspomagany bardzo rozpowszechnionem kłusownictwem, doprowadzić może bardzo rychło do zupełnego wyniszczenia zwierzyny. Liczne i dobrze zorganizowane Towarzystwo łowieckie mogłoby w wielu razach złemu zapobiedz, to też życzymy mu, aby jak najprędzej ze sfery projektów przeszło do życia faktycznego, czynnego i energicznego.

Hodowla królików. Czytamy w „Gazecie Kieleckiej": Powracając z wystawy warszawskiej, gdzie z przyjemnością oglądałem nową gałęź przemysłu, t. j. wychów królików, przedstawionych przez p. Skierkowskiego na wystawie, a czytając w gazetach o założeniu nowej królikarni w Bobrzy, byłem zaciekawiony i postanowiłem ją zwiedzić.

Gatunki królików, znajdujących się w Bobrzy, są bardzo ładne i dziwi mnie, iż właściciel nie przysłał ich na wystawę. Ładne tu są okazy zajączków, nierównie jednak większych od zajęcy, gronostai, popielic, złotych lisów, srebrnych normandzkich, a mianowicie angorów, których jedwabniste włosy długie stanowią ozdobne futro, znane w handlu pod nazwą białych lisów. Gatunki królików, przeznaczone na mięso, dochodzą znacznej wielkości.

Obecnie właściciel w Bobrzy sprzedaje już miesięcznie do 200 sztuk, a w roku przyszłym ma nadzieję dojść do 1000 sztuk miesięcznie, co przy nadzwyczajnej mnożności tego stworzenia nie jest niepodobieństwem. Popyt na skóry za granicę nieograniczony, a sprzedaż tych skór, przy niewielkim nakładzie, może przynosić pokaźny dochód. Byłoby do życzenia, aby hodowla tych pożytecznych stworzeń upowszechniła się w kraju. Broszura napisana przez Popiela pod tytułem: „Wychów królików", dokładnie objaśnia tak sposób hodowli, jako też sposoby przyrządzania futer. Sama Galicya za 4,000.000 złr. (?) rocznie wywozi skór króliczych do Belgii i Francyi.

Ciekawe dla kłusowników. Jeden z rusznikarzów umieszcza w dziennikach politycznych, najbardziej czytanych, następujący inserat: „Karabin bez odgłosu, wyborny do polowania na zające, sarny, dziki i t. p., z celnym strzałem na 100 kroków bez odgłosu. Karabin ten waży ledwie 2 kilogramy, daje się wygodnie w jednej minucie rozłożyć na dwie części i schować w kieszeń". I taki inserat przepuszcza cenzura. *Jagdzeitung.*

Z ziemi Bełzkiej.

Sucho jak „na zapiecku", miłośnicy błotnego polowania, których, mówiąc nawiasem, coraz mniej z powodu zniknięcia przez osuszenie błot i moczarów w okolicy naszej, spoglądają tęsknem okiem na przyrzecza Bugu i Sołokii, które jakkolwiek zmieniły swą dawną imponującą postać, są jedynem zbiorowiskiem błotnego i wodnego ptactwa w całej naszej okolicy. Lęgowisko było dobre w tym roku, jest zatem nadzieja, że polowania będą niezłe. Zwierzyny czworonożnej spora liczba w lasach Mosteńskich, jako też na całej przestrzeni ciemnych sosnowych borów, ciągnących się aż pod Bug i dalej. Lasy nad granicą Kongresówki, własność p. Łomnickiego, słynącego jako dobry myśliwy i przestrzegacz ustaw łowieckich, posiadają świetny stan sarn w ostępach Waręża i

Uśmierza. Dziarski i młody właściciel tych lasów, sam nawet przed początkiem sezonu łowieckiego z bronią w las się nie zapuści, aby nie zamącić spokoju zwierzynie, której w kniejach tych prawdziwie jak w raju. *A. U.*

Sarnę, kozę z rogami, jak donoszą dzienniki niemieckie, ubito na łowach w Windisch-Landesberg. Łowy te, lubo nie w porę, bo w Maju, przedsięwzięto w celu ubicia tego rzadkiego w rodzie sarnim wyrodka. U nas taką „*hic mulier*“ ubito przed laty i umieszczono w Muzeum im. hr. Dzieduszyckich we Lwowie.

Dzikiego, raczej zdziczałego kota, ogromnych rozmiarów, maści ciemno-siwej, z brudno-żółtemi pręgami i ogonem kościastym, jak u lisa, pochwyciły w czasie polowania ogary w kniejach, należących do wsi Kadłubisk.

W niektórych wsiach ziemi Bełzkiej rozmnożyły się w znacznej liczbie susły, czyniące znaczne szkody w plonach. Gminy wspólnie z obszarami dworskimi urządzają rodzaj obławy na tych szkodników, rzadko jednak z dobrym skutkiem. Ostrożne te zwierzęta nie łatwo dają się podejść i kryją się w istnym labiryncie nor głębokich. Najlepszymi ich tępicielami są wrony i koty domowe. W czasie mej bytności we wsi Rusiniu w Lipcu b. r. pokazywano mi 20tą sztukę susła, którą złowiła kotka domowa, znosząc je swoim kociętom. P. Chądzyński z Rusinia, znakomity myśliwy, słusznie radził, aby w okolicach nawidzonych przez susły, nie tępić wron i kotów. Według zdania p. Ch. tępią też wrony myszy polne i pędraki. Co powie na to p. A. Hulimka z Mycowa; który z wronami całej okolicy zaciętą od lat kilku wiedzie wojnę, płacąc za każdą wronę 10 centów nagrody. Korzystne to dla łowiectwa, ale nie dla rolnictwa. Zdaniem mojem oszczędzać trzeba wrony tam, gdzie tego okaże się potrzeba. *Al. Ubysz.*

Z nad Sanu.

„Nie tańcuje, nie poluje — Więc cóż robi? — grzbiet smaruje“ — mówiono ongi, gdy taki jak ja „owsosiej“ myśliwstwu dawszy za wygranę, usadowiwszy na grzbiet latek 80 bez dwóch, jak liczy lud, chyba z prawnukami po izbie poluje. Toż i ja literalnie wedle tej przypowieści *antiquo modo* grzbiet „opodeldokiem“ smaruję, a jednak, czyby kto uwierzył, niedawno pieszo, bo konno z powodu wertepów i gór nie można, puściłem się w głęboki las, w celu ujrzenia czegoś, co po raz pierwszy widziały stare oczy moje. Dnia ostatniego w Maju b. r. przychodzi leśny Fedio i mówi wielce zafrasowany: „Panciu, dywom baczyw sarnu biłu jak huś“. — „Kłamiesz!“ — odpowiadam. — „Żebym pohyb, szczo serna i to koza“. — „Jak breszesz — odpowiadam — to...“ — Pewny swego Fedio, przystał na warunek zapłacenia wedle starej przypowieści:

A kto niema złota, miedzi,
Ten zapłaci tem, czem siedzi.

Godzina była dość wczesna, nie wziąłem mojej starej dubeltówki kabzlówki, bo to „w starym piecu diabeł pali“, mogłaby skorcić wygarnąć ze strzelbiny do jakiego zwierza, „a to przecież Maj, pokój łowom daj“. Idę tedy, wiedziony przez Fedia, ku dosyć odległej części lasu, zwanej „malinnikiem“, dla mnogości krzewów malinowych tam rosnących. „Tu — radzi Fedio tra żdaty, sońce dohriwaje, serniuk biłyk pijde do potoka“. Więc czekamy może już ze dwie godziny, wreszcie o jakie 20 kroków wynurza się z gąszczy główka biała jak śnieg. „Cielę, a może koza domowa“ — szepcę. — „Nit“ — przeczy głową Fedio. — Po chwili kic, kic, koziołek szpiczak wprost dąży do potoka, ukląkł i pije wodę. „Koniec świata — myślę sobie — lub Galicya stała się Australią, gdzie to, jak powiadają, wszystko nie tak, jak indziej, jak na świecie, gdzie zwierzęta latają, ptaki chodzą, a liście drzew nie na dół zwisają, lecz niby szczeć dzicza w gniewie, do góry sterczą. Miałem dosyć czasu przypatrzeć się temu zjawisku, miało ono nawet rożki bez konarków, jak zwykle szpiczaki. Klasnąłem w dłonie i kozioł zniknął w gąszczach. Wracając do domu świdruję myślą nad przyczyną tej czysto białej barwy zwierzęcia. Wyrodek to przypadkowy, czy objaw degeneracyi? Mnie się zdaje, że ostatnie. Wielkim jestem przyjacielem ustawy łowieckiej, ale wielki ubytek samców, a nadmiar samic jest szkodliwym, zbyt rzadki koziołek płodzi potomstwo skarlałe lub anormalne, więc należałoby zmniejszyć liczbę kóz, tem bardziej, że leśnicy narzekają na wyrządzane przez nie szkody. *L.*

Żubry. P. J. Siemiradzki opisując puszczę Białowiezką, przytacza nader ciekawe spostrzeżenia co do żubrów, które tu dołączamy:

„Być w Białowieży, a nie widzieć żubra, znaczy to samo, co w Rzymie nie oglądać papieża. Nie każdy jednak jest tak szczęśliwym. Dawniej można było widzieć żubry w zwierzyńcu, t. j. ogromnej przestrzeni najdzikszego ostępu, około 40 włók obejmującej, ogrodzonej wysokim parkanem, dziś jednak i ta przyjemność łatwą nie jest. Brnęliśmy po kolana w błocie przez kilka godzin po świeżych tropach pozostałych jeszcze przy życiu pięciu brodaczy, ale oprócz tropów nic nie spotkaliśmy. Należało się tedy zadowolić wspaniałym posągiem spiżowym niewiadomego dłuta, wystawionym na pamiątkę jednej z tych rzezi, zwanych polowaniem na żubry, przyczyniających się bardzo skutecznie do t. zw. wymierania żubrów. Czy żubry wymierają istotnie, kwestya to wcale jeszcze nie rozstrzygnięta, ale że przy dzisiejszym sposobie ich pielęgnowania szybko znikną z oblicza tego świata, nie wątpię bynajmniej. W r. 1829 wynosiła liczba żubrów podług urzędowych danych 711, w następnym roku wzrosła do 772. W r. 1858 liczono żubrów w Białowieży 1898 głów, w rzeczywistości jednak wątpić bardzo należy o prawdzie tej cyfry, gdy bowiem dziś oficyalnie się głosi, że liczba żubrów wynosi od 1 i pół do 2 tysięcy głów, w rzeczywistości, podług zdania kompetentnych w tym względzie leśniczych miejscowych, nie przewyższa 500.

Jakiż jest powód tego wymierania? Czy żubry są małopłodne, czy skazane na zagładę mnożyć się nie mogą? Nie bynajmniej! dowodem zaś tego najlepszym jest, że w wielu zwierzyńcach europejskich, gdzie z pewnością mniej mają wygody niż w Białowieży, liczba ich z jednej pary pierwotnej wzrasta do kilku i kilkunastu sztuk, tymczasem w zwierzyńcu Białowiezkim, gdzieby przecie najlepiej hodować się powinny, gdzie wonna żubrzyca i kora osinowa rośnie poddostatkiem, z 25 żubrów, puszczonych tam w r. 1860, 5 tylko dzisiaj pozostało, a i te mają być podobne do szkieletów, obciągniętych skórą. A jednak tuż obok w puszczy, żubr jest tłusty, zdrów, nie zna grasujących w zwierzyńcu epidemii i hoduje się wyśmienicie. Dlaczego liczba ich się zmniejsza, postaram się w kilku słowach zapatrywania moje na tę kwestyę wyjaśnić. Oto za mało, a raczej nic się nie robi dla ochrony żubrów. Prawo jest surowe, to prawda, lecz nie wykonywane z całą ścisłością; straż leśna jest liczna, lecz zbyt ścisłymi połączona węzłami z ludnością osad wśród puszczy rozrzuconych, gdzie każdy włościanin jest strzelcem wybornym i zna puszczę jak własną kieszeń. Przepisy myśliwskie, przyjęte w całej Europie dla sarn i jeleni, nawet nie obowiązują tych, którym w Białowieży na żubry polować wolno. Podczas takich polowań najwięcej pada młodych żubrów i krów, jako najłatwiejszych do napędzenia w stadzie, podczas gdy stare pojedynki, szkodliwe bezwarunkowo dla rozmnażania gatunku, pozostawiają się w spokoju i nikomu zabijać ich nie wolno. Nie dość na tem, włościanie pomimo całej surowości prawa kradną corocznie pewną ilość zwłaszcza cieląt, łatwiejsych do ukrycia. Dopiero w przeszłym roku nakazano wytruć setki wilków, które wielkie w zimie zwłaszcza, wśród żubrów wyrządzały szkody. Pięć lat temu żyło jeszcze kilka niedźwiedzi, również nie gardzących mięsem żubrowem. Sądzę zatem, że ścisłe wykonywanie przepisów straży leśnej, surowa kontrola nad żywieniem żubrów w zimie, staranne niszczenie zwierząt drapieżnych, przedewszystkiem zaś zakaz strzelania na polowaniach żubrowych do krów i cieląt, oraz ograniczenia tych polowań do starych pojedynków, położyłoby kres wymieraniu żubrów.

Oprócz żubrów żyje w puszczy mnóstwo łosi, których liczbę podają do paru tysięcy sztuk, trochę dzików, sarn i jeleni, te ostatnie dostały się tam ze zwierzyńca, w którym ich do 300 sztuk się hoduje. Ze zwierząt drapieżnych, oprócz wilków, przerzedzonych już znacznie po ostatniej przeciw nim kampanii, są jeszcze rysie, a także dużo borsuków. Zajęcy nie ma, po kniejach tylko wśród pól trochę szaraków. Z ptactwa pospolitego są głuszce i jarząbki.

Przypominamy Szan. Członkom, którzy dotychczas wkładki rocznej nie uiścili, iż według Statutu powinni to uczynić w przeciągu pierwszych trzech miesięcy roku, pod wskazanym w tymże Statucie rygorem.

Składając szczerą podziękę wszystkim łaskawym współpracownikom i korespondentom, upraszamy ich, jako też innych myśliwych o dalszą pomoc dla „Łowca“, bez której pismo to pomyślnie rozwijać się i skutecznie działać nie może. Obok szerszych rozmiarów prac, pożądane są dla nas drobne zapiski, sprawozadnia z polowań i t. p., które nie wymagając wiele trudu, zapełniają z niemałą korzyścią dla czytelników szpalty pisma naszego.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.